№ 48 Warszawa, dnia 17 (29) Listopada roku 1879.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: O książkach dla ludu.—Pożegnanie jaskułki (wiersz). —Syn puszczy (dalszy ciąg). — Kronika Paryzka (dalszy ciąg). — Korespondencya z Niemiec (dokoń.)
W dodatku: Krzyż w Mouguerre przez panią Klarę de Chandeneux przekład K. P. (dalszy ciąg).

O książkach dla ludu.

Jubilat nasz Kraszewski w mowie wygłoszonéj na uroczystości, określając znaczenie powieści nazwał ją formą prastarą, która już stała nianką u kolebki ludzkości na wschodzie i z nią razem rosła.

Powieść karmicielka skromna, powiada daléj, to proletaryusz literatury, który zagon trzebi, zaorywa, ziemię uprawia i częstokroć pierwsze zasiewa ziarno. Przez nią dają się przelewać myśli i pojęcia, w niéj rejestrują się zadania wszystkie które społeczność ma do rozwiązania. Forma ta, która najłatwiéj asymilujący się pokarm dla czytelników przynosi, tworzy ich mnogą liczbę i jest propedeutyką do myślenia i umysłowego zajęcia. Kwestye bytu, życia, potrzeb powszednich, stosunków społecznych, nauki nawet i sztuki mieszczą się w tych lekceważonych opowiadaniach, usposabiając ogół do poważniejszego niemi zajęcia.

Oto słowa które mistrz powieści u nas wyrzekł o jéj znaczeniu, jako czynniku pobudzającym do myślenia i umysłowego poważniejszego zajęcia. Rozwodzić się nad słusznością tego twierdzenia byłoby zbytecznem.. Jak tylko wyobraźnia ludzka rozbudziła się do działania, zaraz zaczęła tworzyć opowiadania o tem co działo się kiedyś sięgając najdalszych krańców przeszłości, i co zdarzyło się w obecnéj chwili życia twórcy gawędy i jéj słuchaczy. Fantazya miała tu wielkie pole do popisów, nie żałowała téż siły polotu i w utwory swe wplatła tyle cudowności i nadprzyrodzonych zjawisk, że do prawdy w niéj trudno się nieraz dogrzebać. Zawsze jednak główną barwą treści było zwycięztwo dobrego nad złem, ukaranie występku a tryumf cnoty, pobudki czysto moralności dotyczące, którą pragnął twórca takiéj opowieści w sercach swych słuchaczy zaszczepić.

Opowiadania podobne przezwane bajkami, posiada każda społeczność z wybitnemi cechami miejscowości i ludzi pomiędzy któremi powstała. Mamy i my ich niepomierną liczbę, rozpatrzenie się w nich dla poważniejszego badacza godne mozołu. Iskrzy się w nich całe wnętrze ducha narodu, jego przesądy, braki a zarazem i wielkie cnoty. Powstając ciągle, zdaje się że w pierwszéj połowie wieku obecnego, już zamknęły swój peryod twórczości, przynajmniéj znikły owe wieczorynki, w których skupione gronko słuchaczy, tuląc się do siebie, pomimo przechodzących dreszczów, nie spuszczało z oczów gawędziarza, łowiąc chciwie każde słowo z ust jego wychodzące. Może tam jeszcze we wsiach i małych miasteczkach więcéj zamkniętych w sobie wieczorynki takie praktykują się, ale są to już tylko maruderzy z wielkiéj armii rozkwaterowanéj niegdyś we wszystkich zaułkach dworów, dworków i chat wieśniaczych. Widocznie pokarm taki umysłowy już się przejadł ludowi, załaknął innego, więcéj posilnego, książki, któraby zgodniéj z rzeczywistością zalecała się prawdą w obrazowaniu.

Postęp to widoczny ale nie téj mocy aby powieści kończył panowanie? Żądane jest tylko jéj ulepszenie, wyzbycie się wszystkiego co na bajkę zakrawa, a malowanie prawdy z warunkiem aby ta również bawiła, zaciekawiała i obudzała zajęcie jakie n się przedtem w gawędzie ustnéj zalecała. Taka powieść w warstwach społecznych stanowiących inteligencyą narodu, zdaje się że doszła do najwyższego szczytu, dla ludu ma się dopiero wyrabiać w warunkach jego potrzeb i stanu umysłowości. A jak w powieściach wyższego zakroju, nikomu nie przychodzi nawet do myśli, aby w formę jéj ująć wykład racyonalnéj nauki rolnictwa, howu bydła, pszczolnictwa, weterynaryi, domowéj medycyny i t. d. tak i z powieści dla ludu przedmioty podobne ściśle naukowe muszą być koniecznie wyłączone. W powieści dla nas przeznaczonéj religia, moralność, psychologia, filozofia, i obowiązki człowieka i obywatela, głównie są obrabiane w różnych przejawach życia nigdy pono niewyczerpanych, to samo i w powieściach dla ludu powinno więc miejsce. W wyższéj powieści, im zręczniéj cała treść ułożona, im zawilsza, więcéj tajemnicza i w rozwiązaniu więcéj do prawdy zbliżona, czyli im więcéj zaciekawia i bawi, tym lepiéj się podoba, tym większe zyskuje koło czytelników i uznanie. Powieść dla ludu tak samo powinna bawić i zaciekawieniem przywiązywać do siebie, a nawet pod tym względem wymagania są większe, bo w ludzie zachętę do czytania trzeba dopiero podnieść gdy między nami zamiłowanie jego już jest rozwinięte.

Wreszcie powieść wyższą, naszpikowaną traktatami moralnemi, zwrotami kaznodziejskiemi nazywamy nudną i najczęściéj w połowie niedoczytaną porzucamy to samo lud zrobi z książką w któréj częściéj spotykać się będzie z wymową katedry lub kazalnicy, jak z wątkiem treści do powieści użytéj.

Tak pojmując potrzeby powieści ludowéj, każdy przyzna że do pisania jéj potrzeba niemałego talentu i niezmiernie czynnéj wyobraźni.

W powieści wyższéj, opisy malownicze okolic, charakterów osób działających, wyjaśnianie pobudek na ich czyny wpływających, procesa ich myśli, i wreszcie własne reflekcye autora, stanowią wielkie ułatwienie tak w prowadzeniu całéj opowieści jak i w wiązaniu scen i w ich rozwijaniu: w powieści dla ludu wszystko to nie powinno mieć miejsca, bo prosty czytelnik zawsze niewprawny w czytanie i w zajmowanie się subtelnemi opisami choćby najzręczniéj dopełnionemi, nie przeniknie się ich treścią znuży, znudzi i od książki odstrychnie.

Wszak mistrzowskie podobne ustępy Walter-Skota, zalecające się tak niezrównanym dowcipem, tak

żywą malowniczością, a jakże przez małą liczbę osób właściwie ocenione zostały. Czytano wprawdzie jego powieści z wielkiem zajęciem, ale zawsze większość oskarżała je o rozwlekłość i nudzenie zbytniem gawędziarstwem.

W powieści dla ludu, opisy okolic należy zbywać kilku słowami, to samo własne reflekcye, a charaktery osób, pobudki ich czynów, proces myśli, wszystko to przedstawiać w scenach bezprzerwanie idących po sobie, nieodpadających na chwilę od wątku powieści, a jednak objaśniających to co autor uznał za konieczne do wypowiedzenia. Trudność to nie mała warunkom podobnym zadosyć uczynić, a że są słusznie wymagane, sam lud to popiera.

Echo nie tak zbyt dawno, doniosło że na placu ś go Aleksandra, w każdą niedzielę, odbywa się pomiędzy wieśniakami sprzedaż książek do których głównie a podobno jedynie należą: Rynaldyni, Historya Barbary Ubryk, Tajemnice dworu madryckiego i t. d. Są to dzieła osławione i potępione powszechnie: nie wdając się w bliższy ich rozbiór, godzi się jednak zapytać, dla czego przeszły w handel książkowy dla ludu trzymającego grosz w tak szczelném zamknięciu na kupno drukowanéj bibuły?

Łatwa na to odpowiedź. Oto książki te widocznie zaciekawiając, bawią i zajmują i to tak dalece że nawet skąpstwo ludu przemogły. Historyą Barbary i Tajemnice dworu znam tylko z głównéj treści, ale znam doskonale Rynaldyniego, bo któż go nie zna? Jest to książka dość obszerna jak dla włościanina a jednak nawet słabo czytający gdy się dorwie do niéj, będzie dukał i dukał i puty dukać nie przestanie, aż ją przeczyta i tym sposobem czytać się dobrze nauczy.

Jakiż to wpływ zbawienny! Od książki téj my starsi, podobno wszyscyśmy czytelnictwo nasze rozpoczynali. Ten pociąg winna jedynie zachowaniu warunków powyżéj wyłożonych. Nic w niéj nie ma niepotrzebnego, nic rozwlekłego ani nudzącego: autor nie określa w niéj ani chwili czasu w którym pisze, ani charakterów osób, ani ich postaci i ubiorów: nie zaprząta czytelnika najmniejszą uwagą, nie zagląda do myśli i sumienia swoich bohaterów, a jednak wszystko co opowiada tak dobitnie maluje się w wyobraźni czytelnika, tak osoby żywo w niéj przedstawiają się, ze mimowoli zdaje się je widzieć i podsłuchiwać. Posługują mu do tego sceny szparko po sobie idące, akcya ciągle rozwija się, następują różne wypadki, zdarzenia, niespodzianki, tajemniczości, czytelnik zaledwie w jednéj objaśniony został, już zaraz następuje druga i trzecia, tak że nie wie gdzie zawiesić czytanie, kiedy złożyć książkę, bo zaledwie spojrzał i parę wyrazów daléj przeczytał, już ciekawość jego zostaje na nowo drażnioną.

Podobnie napisany jest Robinson i dlatego Rynaldyni zawsze lat tyle chciwie jest poszukiwany a Robison został przetłomaczony na wszystkie języki europejskie, przerabiany, naśladowany i nawet nie wiadomo w wielu edycyach wydany. Któż go także nie zna!

Otóż wzory dla pisarzy ludowych powieści, wprawdzie Robinson wyżéj stoi pod względem treści a raczéj moralności, ale i Rynaldyni nie jest tak gorszącym jak go okrzyczano. Jest to bandyta co prawda, ale włoski, a z takimi zawsze się łączyły i dotąd łączą pobudki polityczne. Nie jest więc zbójem zwyczajnym, jak to bywa gdzieindziéj, ale niejako przymuszonym, wyrosłym ze sprzecznego poglądu na porządek swéj społeczności. Smutny też, marzący, gryzie się we własnem sumieniu, wyrzuca sobie zajęcie któremu się poświęcił, stara się po swojemu dobrze robić, wspierać biednych kosztem możniejszych i wreszcie ginie marnie w chwili gdy był pewny spokojniejszéj przyszłości. Autor złego nie usprawiedliwiał wcale, owszem przeciwnie zdaje się że miał nawet na myśli pisząc tę książkę, podobnych we Włoszech jak Rynaldyni bandytów, i pragnął przy pomocy swéj pracy, odwieść ich od złego i wrócić społeczności. Myśl ta zaraz uwydatnia się na dwóch pierwszych kartkach rozpoczynających opowiadanie.

Oto, powiada autor, o ile to zapamiętałem: noc rozpostarła swe cienie, na stoku gór wyniosłych przy ognisku znajduje się dwóch ludzi, jeden śpi a drugi zapatrzony w płomień duma. W powietrzu cisza, czaty przechadzają się w milczeniu, ów dumający, a był to Rynaldyni, ujął za gitarę i uderzywszy parę akordów zaczął śpiewać:

O jak szczęśliwy ten człowiek,
Który ma czyste sumienie,
Żadnéj zbrodni przypomnienie
Snu jego nie spędza z powiek.

Strofki podobne malujące żal za straconą niewinnością i swobodą duszy, gdy pasał kozy na polach ojca swego, idą daléj, głos po rosie rozbiega się, echa słabo odpowiadają: w tem budzi się spiący jego towarzysz, Cyntyo, i podsłuchawszy piosnki mówi.

— I kiedyż wodzu przestaniesz smutkiem napełniać serce? Bądź dobréj myśli, uspokój się, przyjdą i dla ciebie lepsze chwile.

Rynaldyni z powątpiewaniem i boleścią na to odpowiada, a tu przybywają czatownicy i t. d.

W kilku tu słowach ileż obrazowości, dramatu i uczucia a i nauki zarazem: żadnych rozwlekłych wstępów, żadnego nudzenia, czytelnik od pierwszéj zaraz chwili zostaje zainteresowany i takim pozostaje ciągle aż do ostatniéj stronicy żałując że się opowiadanie skończyło.

Powiadają że w Rynaldynim podniesiony bandyta do bohaterstwa, może działać szkodliwie i zachęcić niejednego do zostania zbójem. Nie przypuszczam tak złego następstwa, a przynajmniéj nie słyszałem aby zbój czy złodziéj tłomaczył się w sądach jakichkolwiek, iż zachętę do występku otrzymał z historyi Rynaldyniego. Na pozytywizmie naszym roztrębywanym z nierozwagą szaleńców, ten zarzut cięży jak śledztwo z zabójców małżonków przy ulicy podobno Piwnéj dostatecznie wykazało, którzy z najzimniejszą krwią myśl zdobycia kapitałów martwo leżących, jedynie teoryom pozytywizmu przypisywali. Na zasadzie to *walki o byt*, prawdy naukowéj ale nie społecznéj, źle im przedstawionéj przez pisma niby pozytywne, a gorzéj pojętéj, stali się zabójcami i to przekonanymi z gruntu że są niewinni a społeczność zła i głupia że ich karze.

Historya Rynaldyniego, o ile wiem, zbrodniarzy podobnych nie wytworzyła a nawet na zwyczajnych złodziei nie wystrychnęła, ci zaś co zostali winowajcami z pewnością jéj nie czytali. Dlaczegóż więc dla pozytywistów warszawskich mając tak wstrętne i przerażające świadectwo ich apostolstwa, jesteśmy wyrozumiali a bezwarunkowo potępiamy książkę nie obciążoną tak strasznym zarzutem?

Już dawno temu czytałem w gazetach doniesienie że w jakiemś niemieckiem miasteczku, gromadka wyrostków trzynastoletnich, po przeczytaniu historyi Rynaldyniego, postanowiła utworzyć bandę i w okolicznych górach i lasach prowadzić bandyckie rzemiosło. Naturalnie wszystko spełzło na niczem, zaraz w zawiązku rzecz cała wydała się i przyszła banda rabusiów skarcona przyzwoicie wnet wróciła do rozumu. Uznano to za zbytnie rozigranie wyobraźni, za swawolę wyszłą z granic przyzwoitości, czego się podobne dzieci choć w inny sposób ale często dopuszczają. Wkrótce wybryk ten poszedł w zupełne zapomnienie, i dotąd choć to lat trzydzieści minęło, żadnéj już wzmianki o nim nie było, a przynajmniéj nie doniesiono, aby który z należących do gromadki później na prawdę został bandytą. W podobnych latach mego dzieciństwa, zabawa w bandę Rynaldyniego w miejscowości wybornie do tego posługującéj, była nam ulubiona do któréj przez lat kilka należało zawsze ze dwudziestu różnego wieku chłopaków, bez żadnych smutnych następstw dla ich przyszłości. Wszyscy bez wyjątku stali się późniéj bardzo porządnymi ludźmi, użytecznymi pracownikami i żadnemu z nich po takiem przejęciu się treścią książki nie przekręciło się do tyla w głowie, aby bandytę uważał za bohatera a rabusiostwo usprawiedliwiał jakiemiś nowo zdobytemy teoryami.

Wywód ten cały na korzyść historyi Rynaldyniego, może się komuś wydawać monstrualnie niedorzecznym. Opinia osławiła jéj treść, potępiono ją, okrzyczano, a tu ośmiela się ktoś wznieść głos publicznie z dowodzeniem niesprawiedliwości podobnego wyroku.

I cóż mam na zarzut tak ciężki odpowiedzieć? Chyba prośbą, o przeczytanie téj osławionej historyi z bezstronną rozwagą. Nie przeczę że już sam tytuł za krzykliwy, treść drażliwa, że inna z podobną zręcznością napisana byłaby pożądańszą, ale gdy taka jaka jest tak chciwie jest poszukiwaną, nie potępiajmy jéj bezwarunkowo tylko starajmy się lepszemi wydawnictwami pomału ją wyrugować z obiegu i skazać na zatracenie. Korzyści jakie przynosi przez zachętę do czytania, przeniosą z pewnością przypuszczalne a niczem dotąd nieusprawiedliwione złe z niéj następstwa. Brońmy rozszerzania się fatalnych teoryi przez nierozważny pozytywizm warszawski głoszonych a Rynaldyniemu dajmy pokój. Ocierając się często o lud warszawski, prowadząc z nim rozmaitéj treści gawędy, nigdy nie słyszałem aby Rynaldyniego w czemkolwiek usprawiedliwiano. Zawsze to w opinii jego bandyta i nic więcéj, gdy tymczasem z przekręconemi najopaczniéj teoryami pozytywizmu warszawskiego, dotyczącymi dogmatów religijnych, nieśmiertelności i bytu duszy, pochodzenia człowieka od małpy, walki o byt usprawiedliwiającéj wszystkie zamachy na porządek społeczny, spotykałem się bardzo często i spotykam nawet tam gdzie książka zdaje się być zupełnie obcą. Propaganda więc złego idzie tu gawędą, dowodząc jak złe aby tylko schlebiało zdrożnym namiętnościom, łatwo znajduje posłuch. Wprawdzie oburzano się zawsze na te nowinki nowoczesne, ale je powtarzano, rozważano, słuchano, przepływając więc tak od ust do ust, od głowy do głowy a zawsze z nowemi komentarzami, czyż można przypuszczać aby w ogóle ludu nie wywarły najszkodliwszego wpływu? O Rynaldynim nic podobnego powiedzieć nie można, bawi, zaciekawia, pociąga do książki, złego na dobre nie przekręca, fałszywych teoryi nie głosi, wykazuje jasno zgryzotę sumienia ze złych uczynków i historyą kończy obrazem kary zasłużonéj.

Wreszcie mniejsza już o wartość treści: stanąłem w obronie nie jéj samej, ale głównie formy użytéj przez autora. Im więcéj w dziełkach dla ludu przeznaczonych zbliżymy się do niéj, im treść zrobimy ciekawszą, tym książka stanie się poczytniejszą. Można tym sposobem przeprowadzać wszystkie przepisy moralności, obowiązki obywatelskie, wykorzeniać złe, walczyć przesądy, zbijać fałszywe pojęcia, ale z warunkiem unikania wszelkich zwrotów oratorskich przeciw złemu lub z zachętą ku dobremu, a szczególniéj owych tak często używanych początków stereotypowo powiadających np. jak

smutne następstwa zawsze sprowadza pijaństwo wyjaśnia to najlepiéj następujące zdarzenie.

I następnie autor w powiastce opowiada to zdarzenie, bardzo moralnie i pobożnie ale nudnie; czytelnik wiedząc zawczasu że tu idzie o wadę o szkodliwości któréj nie wątpi, domyśla się końca z łatwością i jeżeli czyta to bez żadnego zaciekawienia i z książką bez żalu w każdéj się chwili rozstaje.

Gdyby dla nas ktoś powieść napisał i zaraz od początku powiedział, że pragnie dowieść w niéj ile próżność szkody przynosi czyby przez to przyczynił się do jéj poczytności? Sądzę, że nie, lud powiastki poprzedzone takiem zawiadomieniem, podobnie do nas z niechęcią także przyjmie. My w powieściach nie lubimy a nawet obrażamy się powtarzaniem oklepanych komunałów, obudzających podejrzenie, zbyt ujemnego ocenienia przez autora stanu naszéj umysłowości; lud podobnie jest drażliwy, i on ma swoją dumę i on chciałby uchodzić za świadomszego niż jest rzeczywiście. Co więcéj, drażni go samo nawet wyrażenie drukowane pod tytułem, że powieść przeznaczona dla ludu wiejskiego i miejskiego. Wie on że do miana ludu przywiązana jest wszelka nieświadomość naukowa, umiejąc więc czytać i przeczytawszy to i owo, nie chce się już liczyć do szeregu podobnych nieuków, i książkę z tak wydrukowanem przeznaczeniem tylko w ostateczności wezmie w rękę a nigdy z własnéj chęci. Przekonałem się o tem nieraz.

Powieść zatem dla ludu, przedewszystkiem powinna, bawić, zaciekawiać, dramatycznością scen porywać, treścią o ile można najbardziéj zbliżoną do prawdy przywiązywać, i moralną dążność nie przedstawiać rozumowaniem tylko grupowaniem wypadków.

Czasami krótką uwagą, zwrotem zręcznym do sumienia i myśli wprowadzonych osób w opowiadaniu, można to ułatwić, ale ustępami takiemi nie przesadzać, i trzymać na wodzy chętkę zbytniéj rozwlekłości.

Na zachowanie rad tych z długoletniego doświadczenia powstałych, jeżeli uznane zostaną za słuszne krytyka szczególną zwrócić powinna uwagę. Dotąd zwykle pomijała je a podnosiła najsłabszą stronę, moralną, wychwalając każde odezwanie się autora właściwe kazalnicy. Są już na to utarte nawet frazesy, jak przewiewanie z każdéj myśli najczystszéj moralności, poczciwych zasad, zacnéj dążności, z pewnemi tylko zmianami powtarzającemi się przy każdéj ocenie nowo wydanéj książeczki. Taka krytyka to nic, to reklama wydawcy, autora niczego nie nauczy a czytelnikom zawód przyniesie. Trzeba ją porzucić koniecznie i raz zrozumieć, że wymagania ludu co do powieści są te same co nasze, jedne przymioty zalecać ją powinny tylko odpowiednio rozwinięte do jego poziomu umysłowego.

J. K. Gregorowicz.

Pożegnanie jaskółki

PRZEZ

Tomasza Olizarowskiego.

I na ziemi i na niebie
Już się lato złote chowa,
Jaskułeczko, i dla ciebie
Pora w drogę, bywaj zdrowa!

Już więc musisz mnie porzucić;
Już ostatnie kreślisz kołko
Niezapomnij do mnie wrócić
Niezapomnij przyjaciółko!

Uleciałaś... lęć że zdrowo,
Tęskno, smutno mi po tobie,
Szczebiotałaś mi nad głową,
Myśl łudziłaś, żem nie w grobie!

SYN PUSZCZY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Fryderyka Halma.

Przełożony z niemieckiego

przez

Józefa Grajnerta.

(Dalszy ciąg).

Miron (wypchnięty przez Tektosagów w burzliwém zamieszaniu).

Bądź zdrowa, Partenio, me dziecko!

Partenia.

Bądź zdrów! Już zniknął! Nie ujrzę go więcéj!
(załamawszy dłonie przed twarzą, zostaje na przedzie sceny, gwałtownie łkając).

Ingomar (wszedłszy w głębi sceny na wzgórek, spogląda za odchodzącym).

Wymyka, pędzi raczéj! O, przez bogi,
Chełpliwiec, sądzę nie odpocznie prędzéj,
Aż skroń w zapasce swéj żony ukryje,
Szczególném dziwem musi być ta bojaźń!
Jeszczem się w życiu nie bał, do pioruna!
Chciałbym raz poznać, jak to strach wygląda.
No, niewolnico. Cóż to? Płaczesz, widzę?
Tenże to umysł hoży, przechwalony?
Takaż to prawda.

Partenia (na wpół do siebie).

Już go nie zobaczę!

Ingomar.

A chciałem przecie. Więc nam złe na gorsze
Wyszło z zamiany, za starca kruchego
Mamy płaczliwą, głupią, trwożną dziewkę?
Dosyć już łez tych.

Partenia.

Tak, zaprawdę, dosyć;
Nie, że z nich szydzisz, lecz że są daremne!
Już nie zapłaczę! Nie, na wszystkie bogi,
Choćby dla tego, by twe kłamstwo skarcić.
(tupnąwszy nogą).
Nie chcę, powiadam, nie chcę płakać więcéj.
(osusza sobie szybko oczy i w głąb sceny idzie, gdzie późniéj zjawia się kilku Tektosagów, którzy podczas następnéj sceny wchodzą i wychodzą krzątają się około ogniska, wzniecają ogień, przynosza drwa i t. d.)

Ingomar (spoglądając za Partenią).

Na to się godzę! Na nic się nie zdała
Posępność, smutkiem nie zwalczyć strapienia;
Ta widzę, żyje, zjeść się w kaszy nie da!
„Nie chcę już płakać to mi słowo dzielne,
Niechże je spełni mężnie, jak przyrzekła.
(do Partenii, która tymczasem schwyciła za dwa dzbany i z nimi przodem sceny, na prawo wyjść chciała).
Stój dziewczę. Dokąd?

Partenia.

Dokąd iśćbym miała,
Jak nie do zdroju, by wypłukać dzbany!
(wychodzi).

Ingomar.

Dzbany. No, może to potrzebne. Idźże
Z swymi dzbankami. Jakto. I już znikła!
To coś mi zda się nadto samowolnie;
Lecz w tém jest życie, ruch, w robocie żwawość,
Więc na zamianie wygraliśmy widzę;
Chciałbym, by jeszcze kuć umiała miecze!
Słońce wysoko! mógłbym iść na łowy,
Lecz nie. Trzodom się przyjrzę. Albo lepiéj jeszcze
Tu się położę, dośpię snów przerwanych;
Potem wieczerza i dzień jakoś zejdzie,
A jutro, mniejsza, co bogowie dadzą!
(Podchodzi ku drzewu na którego sękach wiszą jego oręże. Partenia wraca z dzbankami i ze sporą garścią kwiatów polnych; siada na odłamie skały na prawo z przodu sceny stawia przy sobie dzbany i zaczyna pleść wieniec).

Ingomar (zatrzymawszy się nagle i nie spostrzegłszy Partenii wracając na przód sceny).

„Mnie bierzcie w okup!“ i w tył rzuca głową
Jakby nam beczki złota niosła w dani;
A potem znowu: „Nie chcę płakać więcéj!“
Harda istota! To mi właśnie płuży!
Mnie to po myśli, gdy koń dęba stawia;
War górskich lubię potoków i morze,
Gdy piany swoje aż pod gwiazdy miota;
Bo gnuśność cicha jest żyjącą śmiercią;
A życie tylko walka sił wydycha.
Lecz ot i ona!
(zbliża się do Partenii i oparty o skałę nachyla się ku niéj).
Héj, cóż tam sposobisz?

Partenia.

Ja? Wieńce splatam.

Ingomar.

Wieńce! Mnie się zdaje,
Jakbym ją niegdyś widział we snach moich!
A tak, braciszek mój, co chłopcem umarł,
Mój mały Folko, tak zupełnie! to on!
Ten sam włos ciemny, miał te same oczy,
A nawet głos jéj dziwnie mi znajomy,
Więc to wieńcami zwiecie, i dla czegóż
Zaplatasz one?

Partenia.

Dla tych dzbanów.

Ingomar.

Jak to?
Co mówisz?

Partenia.

Czyż to nie w zwyczaju u was?
My w domu, lubim, gdy się kwiaty wiją
W koło pokarmów, czasz i roztruchanów.

Ingomar.

My zaś, dziewczyno, baczym tylko na to,
By miód po brzegi wypełniał nam dzbany;
Daj pokój więc twym wieńcom, szkoda trudu;
Porzuć te fraszki!

Partenia.

Fraszki! Rzucić. Jakto,
Wszystko potrzebne; nawet wieńce! One
Piękne więc dobre. Ich blask rozwesela
Oko, ich zapach rzeźwi duszę! Oto
Patrz!
(powstawszy żwawo i obwinąwszy dzban wpół uplecionym wieńcem, podnosi go ku niemu).
Czyż nie piękne?

Ingomar.

Na promienie słońca,
Toż to powabne! Ta zieloność ciemna,
Te kwiaty jasne! Héj! ty musisz także
Nasze kobiety wyuczyć pleść wieńce.

Partenia.

To łatwo idzie! Wnet żona twa będzie
Pleść równie ładnie,

Ingomar.

Żona! Ja i żona!

Partenia.

Tyś nie żonaty?

Ingomar (uderzając w swój miecz).

To jest żona moja;
Jest nią ta włócznia, ta tarcza! Niech kto chce
Wyrzuca mienie nabyte szczęśliwie
Na targowanie córki u rodziców
Za niewolników, za bydło lub złoto
By w rychle kupna śpiesznego żałować;
Ja znajdę lepszą radę i towary!

Partenia.

O wielkie bogi!

Ingomar.

Czemuż tak ździwione
Tkwisz oczy we mnie? Dla czegoż?

Partenia.

Jak? Za złoto,
Za marne złoto nabywacie żony,
I zamieniacie je za niewolników
Podobnych do was! Przez bogi wieczyste,
Czyż są towarem kobiety?

Ingomar.

A ty czem
Mienisz się. Wszędy kobiety, to s ługi,
My ich tu wprawdzie nie trzymamy ostro!

Partenia.

Tak? nie trzymacie, wy łaskawe pany?
O, gdyby duch mój wstąpił w żony wasze
Choć na dzień jeden.

Ingomar.

Zwolna, coż nas łajesz?
Chowamy swoje zwyczaje, wy swoje;
Wy tam chodzicie za mąż z własnéj woli,
I na swych ojców wybór nie zważacie!

Partenia.

My ich słuchamy, lecz się serca radzim,
Nas tam nie kupi ten co więcéj daje;

Ingomar.

Miłość! Jak? Wy się łączycie z miłości?
Héj, jak to idzie?

Partenia.

Łączenie z miłości?

Ingomar.

Tak; mam ja wiernych towarzyszów broni,
Kocham od serca wielu druchów dzielnych,
Ale się żenić z miłości? Bo miłość,
Cóż to jest?

Partenia.

Co jest? Matka moja mówi
Że to najsłodsza rzecz ze wszystkich rzeczy,
Niebo w tem życiu; nie znam jeszcze tego!

Ingomar.

Nie znasz? Na pewno?

Partenia.

Tak na pewno!
(spoglądając z upodobaniem na wieniec który splata)
Ale
Patrz! Czyż nie piękne! Tu żebym go miała,
Tu kwiat ponsowy konieczny!

Ingomar.

Tam oto,
Goreją w krzaku purpurą!

Partenia.

Tam, mówisz?
Ach, tak! Jak pyszne, czerwone jak płomień!
Ach, idźże, proszę, zerwij mi ich parę.

Ingomar (czyni poruszenie ale się zatrzymuje nagle).

Ja tobie?

Partenia.

Tylko zerwij najpiękniejsze,
Najświeższe.

Ingomar (do siebie).

Pan ma niewolnicy służyć?
Czemuż nie? Biedne dziewczę, tak znużone!

Partenia.

Co, zwlóczysz.

Ingomar.

Nie, nie, wnet mieć będziesz kwiaty
Świeże i z rosą, jakie krzew ma tylko!
(wychodzi śpiesznie na lewo, przodem sceny).

Partenia (przyglądając się wieńcowi, który trzyma przed sobą),

Wieniec się udał, jak nigdy! Istotnie,
Powabnym będzie; powabnym, dla kogoż?
Tu bogu skroni w posągu nie zwieńczy,
Tu się nań matka z uśmiechem nie spojrzy;
Jam tu samotna, opuszczona! Nie, precz,
Precz już ze łzami! Jednak jam kobieta,
I chętkę do skarg i powód bym miała,
Lecz nie, nie rzeknę, iż jestem tchórzliwą!

Ingomar (wchodząc z kilkoma gałązkami kwiecia, i zwolna przez scenę krocząc).

Maleńki Folko, gdy naparł się kiedy
Kwiatka, owocu, lub jakiejś zabawki,
I płakał: Przynieś! Daj mi, ja chcę tego!
Chcąc nie chcąc wolę jegom spełnić musiał:
Ona ma, widzę, wiele z chłopca tego!
Oto są kwiaty!

Partenia.

Dzękuję dziękuję!
Lecz patrz, te na nic! za krótkie łodyżki
Pourywałeś.
(odrzuca niektóre z kwiatków na ziemię).

Ingomar.

Dobrze, ja ci inne.

Partenia.

Nie, nie! Gałązka ta zda się, dziękuję!

Ingomar.

W podzięce mów mi o ojczyźnie swojéj,
I co ci jeszcze kiedy matka rzekła!
Mów, ja przy tobie siądę.

Partenia.

Nie, nie! Nie tu!
Tożbyś mi na nic pogniótł wszystkie kwiaty!

Ingomar (siadając u jéj stóp).

Zgoda, tu siądę, a więc opowiadaj!

Partenia.

Cóż ci opowiem?

Ingomar.

Jak kochają u was,
Jak tam się żenią, zkąd się miłość bierze,
Co to jest miłość, opowiedz na bogi!
Dla mnie to słowo jest to otchłań morza,
Do dna którego chciałbym wzrok zapuścić!

Partenia.

Miłość, mówiła matka, wzrasta szybko;
Mówiła... podaj mi ten fijołek oto!
Miłość, to kwiatek, co w noc jedną wschodzi;
Miłość, to ogień, co się w oczach rodzi,
Sen go pożywia, myśl silniejszym budzi;
Miłość, to gwiazda w raj wiodąca ludzi,
To smug zielony w pustyniach jałowych,
To złote ziarnko w piaskach życia płowych,
A gdy tym światem bogi utrudzone
Wzleciały pod chmur gwiaździstą oponę,
Biorąc tam z sobą wszystko, co tu miały,
Miłości tylko zabrać zapomniały.

Ingomar (który nie odrywał oczu z Partenii, po chwili).

To ciemne dla mnie!

Partenia.

I dla mnie! Doświadczyć
Tego wpierw trzeba, mówi matka. Lecz ja
Znam pieśń, co rzecz tę wyraźniéj tłomaczy,
Dla mnie przynajmniéj! Jakaż to? A! wiem już.

(mówi zwolna jakby sobie pieśń przypominała).

Powiedz mi też, serce moje:
Co się to miłością zwie?
„Ot, dwa serca, jedno bicie,"
„Ot, myśl jedna, dusze dwie."

A zkądże się miłość bierze?
„Tak przychodzi sama nam!"
A jakże to miłość znika?
„Gdzie nie była, znika tam!"

A kiedy jest...

Nie.

Ingomar.

Mów daléj!

Partenia.

Nie pomnę!

Ingomar (gorąco).

Pomyślże!

Partenia

Szperam w pamięci napróżno!
Przy sposobności przyjdzie na myśl samo,
A potem... tu brak mi róży! A! kwitnie
Tam krzak, jak piękne róże! Idę po nie:
Tymczasem pilnuj tu kwiatków i wieńca!
(Podskoczywszy strząsa kwiaty i wieńce na łono Ingomara i wybiega przodem sceny na lewo).

Ingomar (po chwili nie zmieniając postawy w głębokiéj zadumie mówi do siebie).

Dwa serca, jedno bicie,
Myśl jedna, dusze dwie!

(Zasłona spada).

AKT III.

(Scena jak w akcie poprzednim, włócznia i tarcza Ingomara jak dawniéj oparta o drzewo; ogień pod kotłem przygaszony. Ingomar, zatopiony w myślach, występuje na przód sceny wraz z Alastorem).

Alastor (kończąc rozpoczętą rozmowę).

Więc też dla tego mnie inni wysłali
Do ciebie, byś nam jako wódz nasz wyrzekł,
Kiedy do domu wrócić myślisz z nami?

Ingomar (półgłosem mówiąc do siebie).

Ja to jéj powiem. Nie, nie to! Na niebo,
Toby zdradzało. Nie, raczéj to powiem,
Że mi się służba jéj dosyć podoba,
Że ja.

Alastor.

Nie słyszysz mię, widzę.

Ingomar.

Ja, otóż
Wiem, Alastorze. Przyszedłeś i mówisz ..

Alastor.

Mówiłem, że już strumień wyrybiony,
Że zwierz spłoszony znikł dokoła z borów,
A paszy ledwo resztka dla trzód naszych.

Ingomar.

Tak, wiem, mówiłeś!

Alastor.

I pora uchodzi,
A lud tam w domu, by dawnych się uraz
Pomścić, uchwalił jednomyślnie napad
W kraj Allobrogów.

Ingomar.

Co, tak, bardzo słusznie,
Napad, tak, słusznie, że tak uchwalono.

Alastor.

Lecz boją się tam, by do walk nie zbrakło.

Ingomar.

Nie zbrakło. Czego? Czy mnie, Ingomara!
Wpierw zbraknie burzy, błyskawic i gromów,

Niźli mnie w boju!

Alastor.

Tak też tam myślano,
A przeto powiedz, kiedyż wyruszymy?

Ingomar (półgłosem mówiąc do siebie).

Wyruszyć, napaść a wprzód do dom wrócić?
Do jéj ojczyzny chyba, nie do mojéj!
Bo mnie, mnie zda się, jakbym tu był w domu,
Jakbym się rodził tutaj, i dopiero
Tu wzrok otworzył na światło i słońce,
Jakbym dopiero tu rozpoczął życie!

(głośno)

A gdzież są inni?

Alastor.

Śród mchów obozują
Na skraju puszczy, i śniadają teraz.

Ingomar.

Dawaj im miodu, aż zapasy starczą,
I niechaj piją!

Alastor.

Jakto, nie wyruszym
Już dziś?

Ingomar.

Do jutra rzecz tę chcę rozważyć.

Alastor.

Do jutra.

Ingomar.

Rzekłem, do jutra! I odejdź!

Alastor.

Zmienionyś widzę, i w mowie i w duszy,
Ledwiem cię poznał! Dobrze więc, do jutra!
I oby z jasnym poranka promieniem
Rozmysł z rozsądkiem wróciły ci znowu!

(wychodzi na prawo w głębi sceny).

Ingomar.

Ledwo mnie poznał! Tak, w rdzeń życia trafił!
Ja sam się ledwo znam już! Jak to przyszło?
Jam pewnie chory? Tak, tak, być to może;
W sny gorączkowe duch się mój uwikłał,
Zbłąkana dusza w bezdrożu się tuła!

(rzuca się na odłam skały z przodu sceny i po chwili)

Raz w puszczy sarnę ugodziłem strzałą,
A przy ofierze mojéj, która w koło
Mech napoiła krwią serca, stanęło,
Niebezpieczeństwa nie znając, sarniątko,
Ba, nawet losu, jaki spotkał matkę,
Bo życie jego było li w zaraniu.
A gdym przystąpił bliżéj, na ramiona
Zarzucił martwą zdobycz, sarnię biegło
Za mną i z dłoni méj karm jadło, okiem
Mądrém niewinnie spoglądając na mnie!
I wciąż to oko na pamięć mi wraca,
Ilekroć spojrzę w téj dziewczyny oczy,
Co iskrząc krnąbrnie, to błyszcząc otuchą
Pozwolą patrzéć mi w głąb jéj przezroczéj
Duszy dziecięcéj.

(zrywając się nagle)

Ona, znowu, ona,
I zawsze ona. O, przez bogi... Jakto,
Nie masz Ingomar nic lepszego myśléć,
Jak o kobiecie, oczach niewolnicy?

(Brzęk pucharów i głuchy zgiełk biesiadujących po za sceną)

Radość tam wielka; krzyk bojowy, który
Zlewa się hucznie w brzęk pucharów, wieści,
Że ucztę obraz przyszłych zwycięztw stroi;
Walczą już w duchu i mszcząc się już topią
Urazy ojców we krwi Allobrogów,
A ja... schorzałe przepadnijcie myśli!
Kąpiel bitw dzikich ochłodzi żar skroni,
Źródło leczące wytryśnie z żył wroga;
Sam je otworzę, i duszę ozdrowię!
Dla mnie szczęk mieczów, bój, uczty zwycięzkie,
Lecz nie kobiety.

Wprawdzie ona... zda się
Z inszych stworzona żywiołów niż wszystkie,
Gdy zaś pomyślę o tych, co tam u nas
Tak opalone, z kudłatych skór noszą
Odzież, i w ciężkie świecidła się strojąc,
Rade niewoli, przez niecne umizgi
Pokornie łask się pana dopraszają...
To mnie wstręt bierze, a ona, Greczynka.

(Brzęk puharów i wojenne okrzyki za sceną).

Walki wołacie. Walki. Darmo, żaden
Oddźwięk w mem sercu nie zatętni dla was!
Jam chory, z treści mego dziś istnienia
Czuję, żem chory w duszy, aż do rdzenia!

(Rzuca się znowu na odłam skały podczas gdy Partenia wchodzi z prawéj strony na przodzie sceny z koszykiem w ręku i zwolna nie spostrzegłszy Ingomana, na lewo ku przodowi sceny się zwraca).

Partenia.

Oni tam, w domu pogrążeni w żalu
Martwią się, że mnie dręcząc tu, zabili;
A przecież jakże dzieje mi się lepiéj,
Niż się lękano, niż myślałam sama!
Tak człowiek marzy, a bogi czuwają.
Nie tak zły przecie ten lud barbarzyński;
Prawda, zwyczaje ma szorstkie i dzikie,
Lecz wszystkich w karbach tu Ingomar trzyma,
A choć sam nieraz tak wygląda srogo,
Jakby co najmniéj na me godził życie,
Lecz właśnie nie ma z nim żadnéj obawy,
Nie boję go się, do rozmów też skłonny,
Tak on najlepszy z barbarzyńców zgrail!

(Podchodząc do odłamu skały i spostrzegając Ingomara).

A! otóż.

Ingomar.

Ty tu? Zkądże droga?

Partenia.

Właśnie
Zbierałam w lesie poziomki. Ot, widzisz,
Pełny mam koszyk! Chcesz może?

Ingomar.

Nie, nie!

Partenia.

Nie!
Tak samo łatwo: „dziękuję“ rzec, jak „Nie!“
Dziękuję, mówię. Cóż tak wzrok tkwisz we mnie?
Nie jesteś przecie...

Ingomar.

Czém być mam? Idź mi ztąd,
Chcę sam pozostać! Precz!

Partenia.

Spełniam życzenie!

(odchodzi).

Ingomar (zerwawszy się).

Idziesz, Partenio! Nie, pozostań ze mną!
W głowie mi huczy, puls jak młotem bije.

Partenia (wracając szybko).

Więc jesteś chory! Co dolega? Powiedz!
Jam podsłuchała nie jedno u matki,
I umiem z ziółek przygotować napój.
Największy urok zaklęciem odczynić!
Co ci jest? Powiedz!

Ingomar.

Nic! Już przeszło, nic mi!
Twe tchnienie, zda się, płomień zgasić zdolne,
Ogień gorączki rozgorzał mi w sercu,
A głos twój chore ukołysał dziecko
Do snu! Lecz wprzódy majaczenia senne
W zamęt wichrzany myśli me porwały.

Partenia.

Lecz już ocknąłeś teraz?

Ingomar.

Od pijatyk,
Wrzawy kamratów uciekam zdaleka,
Szczęk broni, okrzyk boju słuch mi razi,
A serce pragnąc ciszy, śni i marzy;
Wstydzi się marzeń i znów je wysnuwa...
Partenio, czemu nie jesteś mężczyzną?

Partenia.

Mężczyzną?

Ingomar.

Wonczas troskbym nie znał wcale!
Byłabyś łowów, walk mych towarzyszem,
Jabym przy tobie jak cień chodził, czuwał
W czasie snów twoich, nosiłbym cię, gdybyś
Znużoną była! Jak skała dźwięk rogu
I jako strumień blask modrego kwiatu,
Co po nad brzegiem jego rośnie, duch mój
Duszyby twojéj odbijał wzruszenia!
Uśmiech twój, ból twój byłyby mojemi,
Cała treść życia wspólnąby nam była;
Najskrytsze duszy, najgłębsze tajniki,
Tętna serc naszych i zawiązki myśli.

(nagle się zatrzymując).

O, wy Nadziemscy.

Partenia.

Cóż to? Co tak nagle
Skroń twą owiało?

Ingomar (zwolna mówiąc do siebie).

„Dwa serca, jedno bicie,
Myśl jedna, dusze dwie!“

Partenia.

To pieśń, któréj mię matka nauczyła!

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Styl w dramatach perskich, jak prawie we wszystkich utworach wschodnich, odznacza się miękkością i rozwlekłością zastraszającą. Język w ogóle nie przedstawia nic szczególnego, nic coby przekraczało obręby zwykłéj łatwości słowa. Zadziwia nas tylko nadzwyczajna siła twórcza, objawiona w tych utworach szczególnego rodzaju. Tam dopiero dostrzegamy zupełną różnicę ustroju duchowego Persów od Arabów. Arabia nie miała nigdy ani epopei ani dramatu: Persya miała zawsze epopeję a w ostatnich czasach zaczyna dochodzić do własnego dramatu. Dwa te rodzaje utworów są ściśle z sobą złączone, jako znajdujące wspólny grunt w poczuciu narodowem, znajdującem szczególny swój wyraz w pierwotnych pojęciach religijnych nazywanych mitologią.

Zdaje się rzeczą dziwną mówić o mitologii w Islanizmie, Persi jednak są muzułmanami nadzwyczajnie powierzchownymi, czczą z prawdziwą gorączką pamięć Alego przez nienawiść dla Arabów, i tak zwanych prawowiernych Mahometan. Ali jest wcielonem bóstwem; początkiem i końcem wszystkich rzeczy ziemskich. Z przyczyny Alego Bóg stworzył niebo i ziemię i cały rodzaj ludzki od bieguna do bieguna, może być tylko zbawionym za pośrednictwem Alego. Ali jest kluczem do rozwiązania wszystkich zagadek ludzkościowych, jedynem źródłem wszelkiego stworzenia, naczelnikiem dwóch światów, widzialnego i niewidzialnego; on daje światło słońcu i księżycowi, on jest główną podporą religijnego gmachu, on rozdziela wody ożywcze w raju, i ogień wieczysty w otchłaniach piekielnych.

Synowie jego Hassan i Hossein są klejnotami osadzonemi w tronie samego Boga; nazwiska ich wymówione w przybytku szczęścia, wywołują oznaki poszanowania nawet wybranych siódmego nieba.

Tego rodzaju pojęcia religijne właściwe Persom

uchroniły ich od utraty charakteru narodowego. Arabi pomimo odniesionego zwycięztwa, nie zdołali nigdy zdobyć przewagi moralnéj; ludność podbita jakkolwiek nie mogła wrócić do dawnych pojęć religijnych, przez nienawiść jednak do najezdników, wytworzyła właściwą sobie mitologią na tle mahometańskiem, różniącą ją od prawowiernych Mahometan. Zwyciężeni znajdują prawdziwą pociechę przedstawiając rzeczywistych twórców Islanizmu, jako łotrów pierwszego rzędu; wszystkich kalifów od pierwszego do ostatniego jako przywłaszczycieli bezprawnych; sam nawet Omar przedstawionym jest w charakterze człowieka bez żadnéj myśli wyższéj, bez żadnego uczucia szlachetniejszego.

Twórczość w tym razie posłużyła nienawiści z niesłychaną chojnością; wywołując bogactwem swych pomysłów podziw w umysłach odznaczonych największą śmiałością.

Dramat perski zwany Kasida, pomimo braku wszelkiéj wystawy, jest podobnym do długiéj arabeski wyrobionéj sztucznie. Jeżeli jednak przedmiotowi oznaczonemu tem mianem, zbywa na fantazyi zdolnéj poruszyć serca patrzących. Kasida przeciwnie jest utworem prawdziwego romantyzmu, którego by się nie powstydził sam Shakespeare.

Jeden z tych dramatów napisany pod nazwą Chrześcianka „*la Dame Chrestienne*“ obejmuje prolog, który śmiałością swą równa się prawie utworowi wielkiego poety włoskiego.

Kobieta europejska wypadkowym sposobem jadąc przez pustynię zwaną Kerbela, każe rozpiąć namiot dla wypoczynku. Rzecz zwykła na wschodzie, tym jednak razem nie może być wykonaną. Zaraz przy wbijaniu pierwszego pala, tryska prąd krwi, co wykonanem ma być na scenie z prawdą przerażającą. Przy wbijaniu innych pali ponawia się jedna i ta sama okoliczność, za każdem przebiciem ziemi ukazuje się zawsze krew, rozchodzącą się obfitemi strumieniami w różnych kierunkach. Przerażona kobieta oddala się z miejsca tak złowróżbnego, a znalazłszy spokojniejsze schronienie usypia. We śnie ukazuje się jéj Chrystus, opowiadając wszystkie tajemnice pustyni, to jest szczegóły męczeństwa pierwszych wyznawców Alego. Jednocześnie wykrytym jest przez Chrystusa po raz pierwszy czyn spełniony przez Beduina, który niegodziwością swą przewyższa nawet nikczemność jaką Persi przypisują Arabom.

Pięć dramatów przetłomaczonych przez pana Chodźko, obejmują przestrzeń czasu od ostatnich chwil Mahometa aż do morderstwa Alego i śmierci jego synów.

Co do postaci Mahometa historya z legendą nie zgadzają się wcale. Wedle pierwszéj jest on człowiekiem wielkiéj siły moralnéj i wytrwałości, ale jednocześnie z sercem zimnem i niebardzo wrażliwem; wedle drugiéj znowu, czułość jego serca przechodzi wszelkie wyobrażenie, przelewa łzy ustawicznie, lub też siedzi milczący wśród smutnych rozmyślań.

Barbarzyństwo Arabów przedstawionem jest wyśmienicie. W jednéj naprzykład ze scen dramatycznych, Arab należący do wyższéj warstwy społecznéj, żąda: aby na zasadzie prawa odwetu, umierający prorok uderzony był batem po plecach.

Wedle twórców dramatycznych, Mahomet w ostatnich chwilach życia dręczony był smutnem przeczuciem, nieszczęsnego końca całéj swéj rodziny. Różne zjawiska nadprzyrodzone, zdawały się go utwierdzać w tem przekonaniu; Arabi niewątpliwie mieli zabić wszystkich świętych, wybranéj rodziny.

W dramacie napisanym pod tytułem Ogród Fatymy, przedstawione są pierwsze chwile zaraz po śmierci Proroka. Wszyscy prawowierni Muzułmanie noszą żałobę, Ali przepędza czas samotnie na rozmyślaniu i modlitwie: przeciwnicy jego korzystając z tego snują sieć intryg i podstępów. Wybory odbyły się w warunkach najmniéj przyjaznych dla prawdy i sprawiedliwości. Ali nie został powołanym na stanowisko kalifa jedynie tylko z powodu zbytniej skromności i zaparcia siebie. Omar stoi na czele niegodziwego związku.

Przebiegły ten człowiek zna słabości ludzkie mówiąc: rozum niższych warstw społecznych znajduje się w oczach. Nie uwierzą one w kalifat Aboubekra, dopóki Fatyma znajdować się będzie w ogrodzie swego ojca, gdzie spędzała czas na płaczu i modlitwie. Naczelnik spisku dla korzyści swego stronnictwa, gatów jest spełnić czyny odznaczone największą nieludzkością.

Ze strażą zbrojną idzie do ogrodu Proroka, wybija wrota, każe chwytać Fatymę; ta się broni, Omar w gniewie uderza ją pięścią obalając na ziemię.

Czyn tak barbarzyński sprowadza śmierć nieszczęsnéj; Ali ocalonym jest jedynie przy pomocy udzielonéj mu przez Chrześcian. Z powodu nacisku wywieranego przez Europejczyków. Aboubekr zniewolonym jest położyć koniec nadużyciom spełnianym przez Omara.

W dramacie „Męczeństwo Alego“ mała jego córka imieniem Koulsoum, w następujący sposób wypowiada swoją boleść:

„Czy zapomniałeś ojcze drogi o twojéj biednéj Koulsoum? Zostałam samotna nie mając przy sobie ani jednego serca kochającego. Skoro przyjdzie mi chęć zobaczyć cię, uściskać, gdzież cię znajdę? Któż zdolny mnie będzie pocieszyć w czasie twéj nieobecności? Nie zostawiaj mnie samotnie tutaj, gdzie tylko łzy są osłodą méj boleści.

Pokój ducha i wzniosła prostota Alego oddane są znakomicie, w rozmowie prowadzonéj ze służącym Gamberem na kilka godzin przed śmiercią.

Ali. Bądź mężnym i cierpliwym mój biedny Gamberze. Okaż siłę należytą i przezwycięż przystępy boleści. Po méj śmierci służyć będziesz synom moim Hassanowi i Husseinowi, aby zasłużyć na zbawienie wieczne przy Stwórcy wszech rzeczy. Nie smuć się przyjacielu mój; dwaj moi synowie zapewnią ci dobrobyt na ziemi i niebie.

Gamber. Ciało proroka, gwiazdo siódmego nieba, duszo domu bożego, najpiękniejsza różo wśród kwiatów religijnych, przyjacielu Allaha, ah! jakże piękne były te dnie w których dosiadłszy ulubionego swego Duldula (koń Alego) słońcem twych zwycięztw odbijającem od złotych twoich strzemion, olśniewałeś oczy naszych nieprzyjaciół. Dumny byłem mogąc towarzyszyć takiemu panu w wyprawach, słońce twéj sławy rzucało swe promienie i na mnie nadając znaczenie drobnemu pyłowi; który inaczéj zniknąłby w tumanach kurzawy. Czyż mogę teraz spojrzeć na Zulfekar (nazwisko szabli Alego) o monarcho mój? Jakież wrażenie zrobi na mnie widok twego konia ulubionego? Mów, mów, o mój panie, powiedz! Koń, szabla i ja twój wierny sługa, osieroceni będziemy po tobie. Cóż pozostanie zrobić Gamberowi? Oto wyrwać włosy z brody; rozedrzeć ubranie.

Ali. Duldul ani ty mój stary przyjacielu nie będziecie zapomnieni wcale. Przebacz mi przykrości jakie kiedykolwiek mogłem ci wyrządzić. Przybliżcie się Hassanie i Husseinie: polecam wam mego przyjaciela Gambera, służył on mi wiernie i uczciwie; posiadał całe moje zaufanie. Dzieci drogie nie zapominajcie o nim, niech wasza dobroć pozwoli mu zapomnieć o méj nieobecności.

Gamber. Mam do ciebie prośbę jedną miłościwy książę. Zanim opuścisz to siedlisko cierpienia, radbym cię ujrzeć raz jeszcze jeden na koniu: chciałbym abyś dosiadł po raz ostatni Duldula. O monarcho mój jedyny, pozwól mi raz jeszcze postępować obok strzemion twego siodła; pozwól mi zebrać proch z jego kopyt, potrę nim oczy aby zabezpieczyć je od cierpienia.

Ali. Nie dosiędę już więcéj Duldula. Śmierć przygotowała dla mnie innego rumaka. Dosiędę go niezadługo i przebiegać na nim będę inne pola i inne okolice. Idź mój wierny giermku Gamberze, przykryj mego konia ulubionego czarnym pokrowcem. Powiedz mu że zmienność szczęścia pozbawiła go dawnego jego pana.

Gamber wychodzi i wraca prowadząc za sobą ulubionego konia.

Gamber. Chodź Duldulu, niech cię przykryję czarnym czaprakiem. Niewierni niegodziwi barbarzyńcy zamęczyli naszego pana. Smutnym jesteś przyjacielu Duldulu, czujesz bowiem; że twój dawny jeździec, twój książę zamiera, wśród zdroju krwi własnéj. Nie broń się, pozwól mi przystroić cię żałobnie. Chcę przykryć głowę moją kurzawą ziemną i umrzeć u twych nóg. Ali był całą moją rozkoszą, całem mojem bogactwem.

Korespondencya z Niemiec.

(Dokończenie).

Od filozofii przejdziemy do sztuki dramatycznéj; mam wskazać kilka nowych sztuk które tu wielkiem cieszyły się powodzeniem i któreby i waszéj scenie przyswoić warto.

Znany dramatyczny pisarz Auzengruber, jeszcze przed dwoma laty napisał dramat p. n. „*Uderzenie pięścią*,“ który jednakże dopiero w tym roku przedstawiony został na scenie wiedeńskiéj. Mało dziś bardzo jest dramatów budzących tak żywe zajęcie i napisanych z tak wybornym darem spostrzegawczym. Krytycy i sprawozdawcy, którzy po przedstawieniu dawniejszych sztuk jego *Pastor z Kirchfeld* i *Meineidbauer* utrzymywali że tylko na polu wiejskich dramatów może pracować z odznaczeniem, i nie powinien puszczać się na inne jeźli nie chce zrobić zupełnego *fiasco*: pomylili się grubo. Dramat, o którym mówimy, tak ze względu poglądów jak pomysłu, jasności, układu i wybornego stylu, zaliczyć należy do najlepszych utworów Auzengruber'a i wielkiem cieszy się powodzeniem. W dawniejszych sztukach autor przedstawiał dawne wierzenia i pojęcia religijne, zastające w rozterce z duchem tegoczesnym, zaś osnową dramatu „*Uderzenie pięścią*“ są ideje społeczne czyli raczéj „socialistowskie“ w znaczeniu dziś nadawanem temu słowu. Autor wziął sobie za temat kwestyą sporu kapitału z pracą, czyli raczéj kwestyą pauperyzmu. Sceny pełne życia, zdradzające filozoficzne i polityczne dążności autora, przedstawiają odpowiedź na pytanie: „Jak możnaby polepszyć położenie proletaryatu i pojednać pracowników z pracodawcami.“ Niewątpliwie jest to kwestya paląca i nadzwyczaj na dobie, zdolna natchnąć przedstawicieli muzy dramatycznéj.

Jeźli p. Auzengruber nie zdołał rozwiązać téj prawie nierozwiązalnéj kwestyi społecznéj, to przynajmniéj napisał na jéj tle dobry i nadzwyczaj zajmujący dramat.

Oto treść dramatu.

Kommunista Kammanf przedstawia zaciętego, fanastycznego proletaryusza, miotanego gwałtownemi namiętnościami, niezdolnego nic wyrozumować i występującego z teoryami politycznemi i społecznemi których nie jest w stanie pojąć ani zrozumiéć. Typ ten, tak dziś pospolity, doskonale odmalowany jest tym w jego wykrzykníeniu: „Jak Bóg w niebie, jestem ateuszem!" Obok téj siły ślepéj i bezwiednéj, autor wprowadza Berganer'a, socyalistę ukształconego, rozumującego, zmierzającego do oznaczonego celu. Oto jak sam Berganer opowiada co popchnęło go do wypowiedzenia walki kapitałowi i kapitalistom—z téj opowieści wysnuwa się nareszcie rozwiązanie dramatu, gdyż nadmienić trzeba że syn Sarputron'a kocha się w córce agitatora.

„Pewnego dnia, mówi Berganer, byłem na Praterze z żoną i z dzieckiem; podczas gdy przypatrywaliśmy się sztucznym ogniom jakiś pan wysoki i silny, przepychał się przez tłum do swego powozu i tak silnie żonę moją udepnął na nogę, że aż krzyknęła z bólu. Zatrzymałem go za suknię, żądając aby przynajmniéj przeprosił ją za swoją gburowatość. „Jam biedny, w pocie czoła na chleb zarabiam, ale honor mój tyle wart co i pański, i nie powinieneś traktować mnie jak psa"—odpowiedział mi zniewrażającemi słowy i uderzył pięścią w twarz. Ach! gdyby nie to że oślepiło mnie jego uderzenie i nie mogłem go poznać, byłbym się mścił na nim gdziebym go tylko spotkał! Rzuciłem się ku niemu, ale niezwykłą obdarzony siłą znikł wśród szydzącego ze mnie tłumu. Oddalając się zawołał: „Oto jeden z tych co nam chleb swój winni." Wiedziałem więc od kogo cios pochodził. Nietylko zatruł on mi ten dzień wypoczynku po ciężkiéj pracy, ale spokój i szczęście całego życia. Żona moja była młoda i niedoświadczona; dotąd byłem dla niéj głową domu, jéj podporą i opiekunem od owego przeklętego wieczoru, pomimo iż starała się mnie pocieszać, dostrzegałem już w drodze że do serca jéj wkradło się uczucie litości, najboleśniejsze jeżeli kobieta je uczuje dla męża. Opuściło ją to poczucie spokojnéj ufności ożywiające ją dotąd gdy szła wsparta na mojem ramieniu, i wreszcie pewnego dnia porzuciła mnie i dziecko. Nie szukałem jéj a w kilka lat potem dowiedziałem się że umarła."

Od owéj chwili, serce Berganer'a zapałało straszną nienawiścią przeciw bogaczom i kapitalistom, i dopiero błogi wpływ łagodnéj i kochającéj córki, nienawiść tę zamienił w szlachetną żądzę polepszenia losu współtowarzyszy pracy.

Berganer występuje teraz na scenę jako przywódca deputacyi robotników, wysłanéj do nowego właściciela fabryki w któréj pracuje. Ale przemysłowiec ten, który objął zakład po bracie, niebardzo dobrze jest usposobiony dla swych pracowników i bardzo ostro odpowiada na ich powitanie. „Nie podzielam, mówi on, pojęć mego brata, i ani słyszéć nie chcę o jego pomysłach stowarzyszenia między pracodawcą a pracownikami i przypuszczania robotników do zysków z przedsięwzięcia, bo to wszystko są mrzonki pozbawione logiki. Nie podzielacie ze mną strat, nie ryzykujecie kapitału, więc nie mam obowiązku dzielić się z wami zyskiem. Nie wiem o żadnych prawach robotników; w zamian za pracę daje im z czego żyć, i skoro płacę im regularnie, nie mogą żądać nic więcéj... Cóż możesz miéć przeciw temu?" Berganer odpowiada nieśmiało że trudno będzie się porozumiéć; że robotnicy są tacy ludzie jak ich pracodawcy, że wprawdzie ostatni podlegają różnym klęskom, chorobom, stratom, utracie ukochanych osób, ale że nieszczęścia te zarówno dotykają wszystkie klassy ludności, kiedy robotników dręczy prócz nich troska o przyszłość, niepewność o jutro, nędza, brak roboty, i t. p. „O! pan nie wiesz co to jest głód, znasz go zaledwie ze słyszenia nie pojmujesz nawet naszych utrapień, i dla tego nie możemy się zrozumieć. Dobrze byłoby dla nas, gdybyśmy jak pan tego pragniesz i sądzisz, byli tylko maszynami, ale na nieszczęście my żyjemy, czujemy i mamy to poczucie że należemy do wielkiéj rodziny..." Scena kończy się wydaleniem Berganer'a, w następstwie czego robotnicy urządzają bez robocie i opuszczają fabrykę.

Jakże więc kończy się to tak naprężone położenie? Jakim sposobem córka Berganer'a zostaje żoną syna fabrykanta nie chcącego w żadne wchodzić układy?... Otóż i tu owo „uderzenie pięścią" tak już płodne w następstwa, odgrywa rolę „deus ex machina." Słysząc Berganer'a opowiadającego tę smutną historyą, przemysłowiec pobladł i okazał silne wzruszenie; uczuł gorzkie wyrzuty sumienia, on to bowiem był sprawcą tego grubiańskiego postępku. Przeprasza najuprzejmiej robotnika, ale ten odpowiada: „A tak! łatwo to powiedziéć, przebacz mi! ale cóż zdoła mi wynagrodzić ośmnaście lat cierpień moralnych jakie przebolałem z winy pana?... Nie, nie dotknę ręki którą mi podajesz, dzieli nas bezmierna otchłań, na dnie któréj leży trup żony którą tak kochałem... chyba tylko wtedy miałbym zadość uczynienie, gdybym panu oddał wymierzony mi policzek!..." Przyznaję że wywarłem nader zgubny wpływ na twoje życie, ale działałem bezwiednie a dziś przynajmniéj do pewnego stopnia mogę zgładzić winę moją.. Proszę cię o rękę twéj córki dla mojego syna."

Berganer nie daje się przebłagać; dopiero na widok łez zabłysłych w oczach córki serce jego mięknie i przebacza. „Nie znacie nas, panowie, mówi; gdy nas ktoś depcze, jesteśmy jak dzikie zwierzęta, ale stajemy się łagodni jak baranki jeżli obchodzicie się z nami łagodnie i sprawiedliwie..."

Daję obszerniejsze niż zwykle sprawozdanie z tego dramatu, z powodu nadzwyczajnego wrażenia jakie wywiera na widzach. Szkoda tylko że idylliczne to rozwiązanie kwestyi społecznéj nie da się zastosować na szerszą skalę dla uśmierzenia sporu między kapitałem i pracą, ponieważ nie wszyscy przemysłowcy mają synów którzy chcieliby się żenić z córkami swych robotników.

Innego rodzaju powodzeniem cieszy się komedya w czterech aktach pana Michała Klapp, pod tytułem *Rozenkranz* i *Guldenstern* przedstawiona w Berlinie w *Wallner Theater*. Dawno już publiczność uczęszczająca do tego teatru, tak się nie bawiła i nie śmiała. Pod względem budowy dramatycznéj surowy krytyk nie jedno mógłby tu zarzucić, ale niepodobna nie być rozbrojonym dowcipem tryskającym z dyalogów i komicznością sytuacyi. Sam Arystoteles złożyłby broń i przebaczył autorowi.

Pan Michał Klapp dawno już znany jest jako jeden z najdowcipniejszych dziennikarzy: dość późno spostrzegł się że obdarzony jest wielkim talentem komicznym, ale jak mówi przysłowie: „lepiéj późno jak nigdy." Bardzo być może iż doświadczenie nabyte w szkole dziennikarstwa nader mu w tem było pożytecznem, gdyż tu nauczył się przedstawiać osoby swoje w pełni akcyi, i nadać utworowi swemu tę żywotność i ścisłość obserwacyi, tak niezbędną piszącym dla teatru.

Oto w kilku słowach treść sztuki.

Książę Liebenstein ma syna któremu nie pozwala czytać jak tylko pisma podlegające najsurowszéj cenzurze. Korzystając z téj sposobności, autor wprowadza nas w świat dziennikarski i bawi nader humorystycznemi spostrzeżeniami. Ten syn ma lat dwadzieścia, książę wybiera bardzo poważnego Mentora mającego towarzyszyć mu w podróży. Umawiają się że młody hrabia ma podróżować pod zapożyczonem z Shakespere'a, nazwiskiem *Guldenstern* i że wolno mu będzie miéć „mały romansik" ale zamykający się w granicach nakreślonych z góry, i który pod żadnym pozorem nie może zakończyć się małżeństwem.

Obaj towarzysze udają się w podróż, i znajdujemy ich we wspaniałym hotelu nad brzegiem jeziora Czterech Kantonów. Życie hotelowe i tłum podróżnych, przewodników i służby, przedstawione jest z tak ścisłą dokładnością, iż widz może się łudzić że rzeczywiście wszedł w towarzystwie dwóch turystów, do ogromnego szwajcarskiego hotelu.

Tu rozpoczyna się romans pozwolony młodemu podróżnemu, który zakochał się w ładnéj mieszczance, a jednocześnie drugi mentora jego Rosenkranz'a oczarowanego pięknemi oczami pewnéj hrabiny. Autor kreśli z nieporównaną werwą rożne sceny heroiczno-komicznéj miłości, i nie wpadając nigdy w trywialność albo ordynarne lub nieprzyzwoite farsy, pobudza publiczność do serdecznego niemal śmiechu.

Służba hotelowa bierze głównych bohaterów za urlopowanych aktorów. Nader komiczna scena w któréj Rozenkranz prawi morały swemu Telemakowi że mógł zakochać się w prostéj mieszczance, a właściciel hotelu mniema że jest on aktorem grywającym role ojców, i powtarza rolę jaką ma odegrać w jakiejś sztuce. Wyborny jest także w akcie trzecim członek rady hygienicznéj, dopatrujący sfałszowania we wszelkich artykułach żywności, który towarzyszom podróży wydziera od ust potrawy, aby je poddać pod rozbiór chemiczny. Zabawna ta komedya napisana jest *na dobry* czysto francuzki sposób, akcya lekka, swobodna, nader zręcznie osnuta na tak małéj treści. Prawda że autor jest Wiedeńczykiem, których dowcip tak zbliża się do dowcipu francuzkiego.

Nie mogę pominąć jednéj jeszcze sztuki przedstawionéj w tymże Wallner Theater w Berlinie, p. n. *Sodoma* i *Gomora* przez p Franciszka von Schöntan. Po tylu słono-pieprznych wodewilach i komedyach, w których zajęcie otrzymuje się jedynie wyskokami excetryczności, podobna sztuka robi wrażenie chłodzącego napoju. Autor wprowadza na scenę osoby, których nie potrzebował szukać na śmietnikach społecznych ani w szpitalach obłąkanych; dyalogi są nader zręczne, żywe, pełne werwy i dowcipu. Treść jest bardzo mała, że zdawałoby się niepodobnem osnuć na niéj więcéj jak jednego aktu, ale autor umiał wprowadzić tak śmieszne i zabawne akcessorya, że cztery akta jeszcze się widzom zdają za krótkie. Jest to historya turysty, rzecz dzieje się w oberży, w górach bawarskich: pewna kassetka wielką tu odgrywa rolę. W końcu przedstawia się widzom rodzaj szatańskiego sabatu, i ztąd tytuł sztuki *Sodoma i Gomora*.

Z książek poważniejszych zalecam „*Dziesięć lat polityki austryackiéj*" przez pana Friedman. Autor jest publicystą znanym ze zdrowego sądu krytycznego i szczególniejszego daru przewidywania przyszłości z faktów przesuwających się przed jego wzrokiem. Jest to pisarz polityczny staréj daty. W tem dziele swojem nader jasno i bez pedantyzmu przedstawia konstytucyjny rozwój Austryi. Zebrał najlepsze artykuły jakie napisał w tym przeciągu czasu, połączył je z sobą, i czytelnik może się przekonać jak trafny i przenikliwy jest pogląd ich autora. Przyszłość pokazała że zawsze prawie miał słuszność.

Na zakończenie téj korespondencyi, muszę wspomnieć jeszcze o ciekawym procesie jaki odbył się w Berlinie przed parą miesiącami. Cudzoziemiec wyższego urodzenia bardzo bogaty, pułkownik gwardyi w swoim kraju, od dawna mieszkający

w Berlinie i przyjmowany w najpierwszych towarzystwach, p. Alexander B. został oskarżony i stawiony przed sądem jako złodziéj kieszonkowy.

Pewna liczba świadków zeznała iż widzieli jak ten jegomość macał kieszenie pań w Panoptikum, a nareszcie pewnéj młodéj dziewczynie wyjął portmonetkę. Oskarżenia tak były dokładne iż pomimo wszelkiego ich nieprawdopodobieństwa, pan pułkownik został skazany w pierwszéj instancyi na trzy miesiące więzienia. W wyższéj instancyi, oskarżyciele prawie jednobrzmiące złożyli zeznania, tylko *podobno* lepiej je zbadano, i nadspodziewanie, inny zapadł wyrok.

Oskarżony dawno już zwracał na siebie uwagę w sali Panoptikum, ale nie można było pozyskać pewności, że przychodził tam w celu kradzieży, gdy w tem jednemu ze śledzących go przyszła myśl przekonać się o tem dowodnie za pośrednictwem pewnéj młodéj dziewczyny, nie używającéj zbyt dobréj reputacyi. Przeszła ona wolno przed panem B. nader widocznie trzymając w ręku portmonetkę, i równie widocznie włożyła ją do zwierzchniéj kieszeni okrycia. Po kilku chwilach zmieszała się w tłum, oskarżony przysunął się do niéj i zawołała że jéj wyjęto portmonetkę. Wprawdzie p. B. odezwał się zaraz żeby szukano koło niego, ale tego nie uczyniono—tak więc nie znaleziono *corpus delicti*. Na to możnaby powiedziéć że możnaby i zrewidować oskarżonego i nic nie znaleźć, boć wiadomo że to zwykła taktyka złodziei kieszonkowych, iż zdobycz swą zaraz oddają innemu. Obrońca oskarżonego zbijał zeznania zarzucając podejrzaną moralność świadków. Wykazał że matka téj młodéj dziewczyny jest żebraczką z professyi, że pisuje listy do osób bogatych, w których wymyśla przeróżne kłamstwa, mające wzbudzić ich litość. Córka jest figurantką w balecie, nie ma żadnego talentu i matka popchnęła ją na drogę złego życia. Inni świadkowie, dowodził daléj. patrzyli na oskarżonego w przekonaniu że jest to złodziéj kieszonkowy, i w tym duchu tłomaczyli sobie każde jego poruszenie. Jeden z nich przyznał iż gdyby był znał stanowisko oskarżonego, nie byłby go wziął za złodzieja. Po długich śledztwach i badaniach, po nader gorliwych przemówieniach obrońców, oskarżony został stanowczo uniewinniony wyrokiem wyższego sądu. Jak zwykle w podobnych wypadkach, wyrok sądowy nie wszystkich przekonał o niewinności oskarżonego.

LISTY Z MADRYTU.

VI.

Zamiłowanie w walkach byków tak jest wrodzone Hiszpanom, iż jak motyl bez kwiatów i słońca, żyćby chyba bez nich nie mogli. Panowie czy biedacy od dzieciństwa przypatrywać im się nawykli. Początek ich sięga jeszcze czasów Cida Campeador'a; jak opiewa stara legenda, on pierwszy na koniu z włócznią wpadł do areny i zabił byka. Idąc za jego przykładem, mnóstwo szlachty zaczęło się oddawać podobnym ćwiczeniom, dosięgli w nich wysokiego stopnia doskonałości i wkrótce żadne uroczystości nie obyły się bez walki byków. Trzeba było być szlachcicem i chlubić się starożytnem drzewem genealogicznem, aby być dopuszczonym do areny, do któréj sami królowie nie wahali się wstępować. W wiekach średnich było to ulubioną rozrywką dworską i zaszczytnem polem popisu najznakomitszych wojowników, nietylko u Hiszpanów ale i u Arabów; występowano na arenie z równą dumą jak idąc na pole bitwy. Izabella Katolicka, która igrzyska te przejmowały wstrętem, chciała ich zakazać odstąpiła jednak od tego zamiaru, przekonawszy się o jego niepopularności i niemożebności wykonania. Karol V, ów wielki cesarz, własną ręką zabił byka w Valladolid. Pizarre, zdobywca Peru, był równie prawie znakomitym *lanceador de torso* jak don Sebastian, król portugalski, choć walki byków w Lizbonie nie mogą nawet dać wyobrażenia o madryckich. Filip III poświęcił znaczne summy na przyozdobienie cyrku; Filip IV i Karol II poszli jego śladem. Za panowania Filipa V, z wyraźnego jego rozkazu, pobudowano nowe cyrki, i aż do owych czasów, zaszczyt czy przywiléj *torear* (zabicia byka) należał wyłącznie do szlachty.

Dopiero w końcu XVIII wieku, zapewnie w następstwie wpływu idei filozoficznych, sztuka ta przeszła do niższych klass społecznych; wtedy to pojawiło się mnóstwo *toreros'ów* nauczycieli dających za pieniądze lekcye walki z bykami, i ci walczyli i konno i pieszo. Królowie, książęta, patrycyusze, wjeżdżali na plac igrzysk na wspaniałych rassowych wierzchowcach—wtedy sam tylko byk padał ofiarą, a jeździec bronił rumaka często kosztem własnego życia. Zwyczaj ten, zmienił najpierwszy Francisko Romero de Ronda; skazał *torero* do walki pieszéj, przepisał jéj formy i reguły, a tak przechodząc do ludu, igrzyska te straciły cechę rycerskości i wykwintności, ale większego jeszcze nabrały życia.

Karol III wydał postanowienie znoszące w Hiszpanii walki byków, ale jedynem następstwem tego zakazu było, iż zapał ludu do téj zabawy, w szał się niemal zmienił. Wbrew dążnościom swego poprzednika, Ferdynand VII założył w Sewilli wspaniałą szkołę *toromachii* (walczenia z bykami). Co do Izabelli II éj ta była szaloną wielbicielką tych dzikich zabaw; Amadeusz I, zarówno jak małżonka jego Marya Wiktorya, czuli nieprzeparty wstręt do tych walk tyle pociągających ofiar, tylko król, przezorniejszy nie objawiał tego zbytecznie. kiedy przeciwnie młoda królowa nie umiała ukryć swego oburzenia. Obecnie walki byków odbywają się częściéj niż kiedykolwiek i nadzwyczajnem cieszą się powodzeniem, albowiem Alfons XII jest gorącym ich miłośnikiem i gdyby tylko nie był królem, pewnie wzorem swych przodków sam zstąpiłby na plac igrzysk stacząć walki z rozwścieczonymi bykami.

W oznaczony dzień walki Madryt nader ożywiony przedstawia widok. Kto tylko żyje wybiega na ulice: wszystkie twarze są rozpromienione, ukazują się najrozmaitsze, często dziwnie malownicze stroje; idący pieszo pchają się i popychają wzajemnie. Powozy pędzą galopem, mijają się, wyprzedzają a niekiedy przewracają. co bywa czasami powodem smutnych albo znów nader komicznych wypadków.

Cyrk, czyli wyrażając się miejscowym językiem „plac byków“ (*plaza de Toros*) leży po za bramą Alcala, przy końcu przedmieścia Salomona. Jest to ogromny amfiteatr okrągławy, z lożami i stopniowanemi siedzeniami, przystrojony chorągwiami; może pomieścić do 15,000 widzów. Już na tydzień przed dniem widowiska, wszyscy przygotowują się do niego. a w przeddzień rozpoczyna się na wielką skalę handel biletami. Jak tylko zadnieje, niezliczone tłumy oblegają wejścia, czekając na ich otwarcie; wszystkie ulice prowadzące do bramy Alkala są zatłoczone; krzyki sprzedających wodę i pomarańcze rozlegają się w powietrzu; handlujący biletami biegają jak szaleni, ogłuszeni już to prośbami, już odgrażaniem, już nareszcie klątwami tysięcy głosów. Nareszcie do bram cyrku nadciągają najwspanialsze powozy najznakomitszéj arystokracyi, grandów hiszpańskich, ministrów, ambasadorów, jenerałów, dygnitarzy oraz arystokracyi pieniężnéj. Gdy już zasiedli w swoich lożach, przybył młody król Alfons otoczony swoim dworem, w świetnym mundurze; na ustach jego jaśniał właściwy mu słodki i uprzejmy uśmiech, którym zdawał się witać wszystkich. Razem z nim weszła księżna Izabella w białéj mantyli, w towarzystwie margrabiny Santa-Cruz, swojéj damy honorowéj; pani ta, choć młoda jeszcze, ma włosy zupełnie siwe, co twarzy jéj nadaje nieco oryginalny, ale nader powabny wyraz, oraz ładnéj pani Aguilar, która nie odstępowała jej na wygnaniu.

(*d. c. n.*)

Nowe wydawnictwa.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, wyszły następujące dzieła:

1. **Missya familijna**, opowiadanie przez autora Kłopotów starego Komendanta.

2. **Rubin wezyrski** powieść historyczna przez Walerego Przyborowskiego.

Wyszła nadto nakładem księgarni Konrada Prószyńskiego w Warszawie, mała broszurka p. t. Znaczenie posłuszeństwa w wychowaniu przez M. I. Z cena kop. 5.

Jak psotnikom bywa, przerobił z francuzkiego Roman Nowina, wydał G. Sennewald w Warszawie. Książeczka illustrowana, wierszyki w niéj udatne, przeznaczona dla małych dzieci stanowić może bardzo miłą dla nich rozrywkę

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 13 Ноября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 48 r. 1879.

KRZYŻ W MOUGUERRE.

przez

panią Klarę de Chandeneux

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Pan Bernard udał się ścieżką nad brzegiem jeziora, i wkrótce znikł z przed oczu Stefana w drzwiach domku dozorcy śluz. Pan de Vambry zsiadł z konia i usiadł po nad wodą, podczas gdy Theodoros, jakby dla zabawy, ogryzał młode pączki z krzaków.

Głęboki smutek, którego już nawet nie usiłował pokonać, opanował jego umysł i serce. Los jego nieodwołalnie roztrzygnięty... życie nieozłocone najlżejszym promykiem słońca... w przyszłości nic, prócz spełnienia ciężkich obowiązków!... O! młodości! gdzieżeś uleciała unosząc z sobą wszelkie pragnienia i marzenia złote?

Obowiązek!... To ukazujące mu się teraz ciągle widmo przerażało go a zarazem pociągało ku sobie, jak trudne do rozwiązania zadanie, a przecież trzeba je było rozwiązać... czy jego siły fizyczne i umysłowe wystarczą na to?

—Ho! ho, odezwał się nagle za nim cienki i ostry głosik, to koń pana z Mouguerre! Piękny, bardzo piękny koń!... ale nie ma nóg poobwijanych szmatami, jak wtenczas w nocy!

Stefan powstał nagle, rozsunął zasłaniające go gałęzie, i przyskoczył do małego zuchwalca, w którym już z głosu poznał Elissalda, chłopca zczarnym kozłem. Zatrzymał się nagle, spostrzegłszy obok niego człowieka, którego rysy wyryły się głęboko w jego pamięci, pomimo że widział go tylko raz jeden. Był to dozorca śluz, przemytnik, narzeczony Graciozy.

Jan Berette był silnie zbudowany, wysoki i szczupły, prawdziwy typ górala z téj okolicy. Miał na sobie rodzaj kaftana z niebieskiego sukna, i narodową czapkę tegoż samego koloru, zwaną *beret*.

Z blond włosami spadającemi na ogorzałe czoło, z twarzą bladą pomimo ogorzenia, z groźnym uśmiechem na ustach ocienionych jasnemi wąsami i z pałającemi gniewem oczami, prześlicznego kształtu i koloru. Jan Berette stał naprzeciwko pana de Vambry, jakby żądał usprawiedliwienia jego w tem miejscu obecności.

Stefan zatrzymał na chwilę wzrok na młodym Baskijczyku, stojącym przed nim w dumnéj postawie, i tenże wydał mu się pięknym pomimo swéj dzikości. Rozkazującym ruchem ręki kazał odsunąć się Elissaldowi kręcącemu się ciągle koło Theodorosa, wsiadł na konia i miał już odjechać, gdy w tem zatrzymały go słowa wyrzeczone z wyrazem gwałtownego uniesienia:

— Panie oficerze, czy nie powiesz mi czemu obwijasz szmatami nogi twego konia, krążąc koło mego mieszkania, w nocy... jak złodziéj?

Zaledwie te zuchwałe słowa wyszły z ust jego, uczuł na twarzy spicrutę pana de Vambry.

— Powiem ci to Janie Berette, skoro mnie uwiadomisz, dlaczego jak zbrodniarz ukrywasz twe rany.

Po tych słowach rzuconych jeszcze prosto w oczy Baskijczyka, pan de Vambry odjechał spokojnie.

Jan Berette stał przez kilka sekund nieruchomy, zacisnąwszy zęby i pięści, dławiony szalonym gniewem. Wściekłość pałała mu z oczu, zapieniła usta, miotała całem ciałem. Pobiegł kilka kroków, wiedziony żądzą dogonienia tego człowieka, którego on pierwszy znieważył, ale który teraz oddala się spokojnie uderzywszy go w twarz spicrutą. Zapomniał że był zbyt jeszcze osłabiony, aby mógł go doścignąć; biegł daléj ale odległość między nim a jeźdźcem zwiększała się ciągle. W końcu potknął się o wystający korzeń drzewa, zachwiał i upadł z głośną klątwą na ustach.

Nie potrafił doścignąć wroga,—bo ten piękny oficer był jego wrogiem!... Elissald widział go w nocy. nad jeziorem, jadącego w ślad za Graciozą! Elissald widział go na cmentarzu, siedzącego obok Graciozy Irribery, któréj teraz milszą była droga do zamku, aniżeli do jego domku. I dlatego to zapewnie Gracioza już od piętnastu dni nie uśmiecha się do niego!... Miałby zostać pozbawionym na zawsze uśmiechu Graciozy!... Miałby utracić jej serce!... O! czy już nie zdoła zatrzymać tego człowieka, zawezwać go aby mu wrócił miłość Graciozy?... On musi go zatrzymać... on go dosięgnie.

W szalonem uniesieniu, wyrwał z za pasa straszną ganibettę, ten morderczy i dziwnego kształtu nóż baskijski, który jak sztylet przebija i przeszywa powietrze jak kamień rzucony z procy, i cisnął go za jeźdźcem z nieprzepartą siłą namiętności.

Nóż zabłysnął w powietrzu, dosięgnął jeźdźca, i utkwił zdradziecko między łopatkami.

Stefan uczuł zimno zagłębiającéj się stali, wydał lekki okrzyk, instynktem wiedziony ścisnął kolanami Theodorosa, wypuszczając z rąk cugle.

Koń czuły niepowodowany już przez jeźdźca, stanął dęba, potem wierzgnął i rzucił Stefana na przydrożną skałę najeżoną ostrymi cyplami.

XIV.

Pan Bernard przechodził wtedy przez kładkę, unosząc z sobą tryumfalnie pstrągi związane w chustkę. Cieszył się szczerze ze swéj zdobyczy, raz że z własnego pomysłu wystarał się o taki przysmak, powtóre że Matylda będzie mu z pewnością wdzięczna za takie zasilenie jéj spiżarni.

Czy to nie pyszna zdobycz!... żywe pstrągi, wyjęte w jego oczach z sadzu! pstrągi czerwono nakrapiane, rzucające się jeszcze w chustce przywiązanéj do siodła!

„Ten żartowniś Vambry, mówiący z takiem lekceważeniem o kwestyach gospodarskich, przekona się sam widząc jak mi Matylda podziękuje, jak to zrobić dogodność żonie, nawet w rzeczach dopomagających do zadowolnienia jéj miłości własnéj jako pani domu.

„Ale gdzieżby jest Vambry? nie widać go nigdzie. Czy zniecierpliwił się i odjechał?... Oj! co to za bieda z tymi zakochanymi!“

Pan Bernard popędził konia, i wkrótce potem spostrzegł Theodorosa gryzącego spokojnie trawę przy jakimś przedmiocie leżącym na ziemi.

Zbliżył się więcéj i poznał leżącego Stefana, ale w jakiejże dziwnéj postawie? Z pewnością nie jest to postawa człowieka śpiącego, tem mniéj leżącego tylko. Czy go spotkał jaki wypadek?... Czy go koń zrzucił?...

Pan Bernard zeskoczył z konia, podniósł Stefana, zobaczył krew... nic nie zrozumiał, nie starał się nawet zrozumieć, myślał tylko jak ranionego ratować.

W mięszkaniu dozorcy nie było nikogo prócz jakiejś staréj kobiety, nie mógł się więc z tamtąd spodziewać pomocy. Nad brzegiem jeziora nie widział także nikogo. Szczęściem pan Bernard był bardzo silny i umiał sobie radzić; przyprowadził Theodorosa do drzewa, podniósł wolno ranionego i umieścił na siodle, potem sam za nim usiadł i odjechał podtrzymując Stefana, i prowadząc własnego konia, który dźwigał już tylko same pstrągi.

Znajdowali się mniéj więcéj na pół drogi między Bayonną a Mouguerre, ale przypomniał sobie Graciozę, w któréj pokładał wielkie zaufanie odkąd leczyła pannę de Fouzolle, i wolał udać się do zamku. Obawiał się tylko aby Marya Anna zobaczywszy w takim stanie narzeczonego, nie zachorowała niebezpiecznie.

Opatrzność czuwająca nad tą wątłą istotą dozwoliła, że kiedy pan Bernard przyjechał do zamku, ona siedziała na ławeczce w głębi parku, i nic widzieć nie mogła.

Pani de Fouzolle, znajdująca się w salonie, zobaczyła pierwsza przez okno tę dziwną gruppę, i odgadując że wydarzyło się jakieś nieszczęście, wybiegła drżąca ale cicho, bez krzyku, co w kobiecie jest dowodem siły charakteru.

Gdy Stefana wniesiono do pokoju, podsunęła fotel, pomogła posadzić na nim Stefana, i zdjąć z niego zakrwawione ubranie, a jednocześnie rzekła do służącego:

— Proś Graciozy aby tu przyszła... i niech nikt nie wspomina pannie de Fouzolle o tem co się stało.

Dzięki silnym trzeźwiącym solom, a może w skutek bólu przy zdejmowaniu odzienia które przywarło do rany, Stefan otworzył oczy, zobaczył margrabinę, i rzekł natychmiast aby ją uspokoić:

— To nic, niech się pani nie lęka.

— Ale cóż się stało, mój dobry panie Stefanie? zapytała niespokojnie bo pan Bernard nie umiał jéj nic powiedzieć.

Wraz z przytomnością Stefan odzyskał pamięć. Gniew błysnął mu w oczach.

— Co się stało? Jest to...

Zatrzymał się nagle. We drzwiach ukazała się Gracioza blada jak chusta.

Nic nie wiedziała, nie mogła wiedzieć prawdy, a jednak czy to w skutek przestrachu czy też przeczucia, na twarzy jéj malowała się tak niewysłowiona boleść, a oczy patrzyły tak błagająco, że oskarżenie zamarło na ustach młodego oficera.

— Jest to prosty wypadek, dokończył ciszéj.

— Ale jaki wypadek?... Chodź, chodź prędzéj

Graciozo, zawołała margrabina, prowadząc Baskijkę do ranionego.

Gracioza obejrzała najprzód głowę, potem ranę nie zbyt głęboką, podłużną, z równemi brzegami, i zmarszczyła czarne brwi z wyrazem oburzenia; teraz już zrozumiała wszystko.

— O! upadnięcie było ciężkie! rzekł pan Bernard, zdawało mi się że podnoszę umarłego!

— Więc to koń cię zrzucił? rzekła pani de Fouzolle.

— Tak... koń.. odpowiedział cicho Stefan patrząc w oczy Graciozy, w których spodziewał się znaleźć wyraz zadziwienia lub wdzięczności, ale wyczytał tylko boleść.

— Bo też brzegi tego jeziora są bardzo niebezpieczne, zasiane ostremi skałami! Jeżeli jeszcze Theodoros zaczął dokazywać po swojemu, nic dziwnego że się tak skończyło. Wszak powtarzałam ci zawsze, kochany panie de Vambry, że Theodoros miewa przystępy złego humoru... rzucił cię na twarde łoże, na którem mogłeś łatwo śmierć znaleźć.

Stefan nic nie odpowiedział. Wszystko można było wytłomaczyć upadnięciem na ostry cypel skały: on to przeciął mu ciało jakby nożem. Wierzono temu... tem lepiéj!

Wprawdzie niechęć do Jana Berette pobudzała go do wyznania prawdy, ale rozpacz Graciozy budziła w jego sercu szczerą litość.

Pobiegła co prędzej do siebie i przyniosła maść gojącą rany, z której słynęła w górach jéj matka, Wincenta Irribery. Gdy opatrywała ranę, byli już tylko sami; margrabina wyszła aby przygotować Maryę Annę do téj smutnéj wiadomości.

— Trudno zwieść Baskijczyków, rzekła Gracioza zwracając na Stefana badawcze spojrzenie. Poznałam że pan zostałeś raniony ganibettą.

— Tak, odpowiedział Stefan.

— Podziękuj pan Bogu że jeszcze słaba cisnęła nią ręka.

— Miał to być cios śmiertelny, wszak prawda? zapytał z gorzkim uśmiechem.

— Dlaczego nie wymieniłeś pan winowajcy.

— Bo jest nim... twój narzeczony.

Dziwny uśmiech przemknął po jéj koralowych ustach. Więc ujdzie kary, rzekła po chwili.

— Jeśli ty mnie o to prosisz.

— Ja o nic nie proszę.

— Jednak sprawi ci to boleść jeźli go zaskarżę.

— Nie troszcz się pan o mnie.

— Właśnie tylko o ciebie mi chodzi.

— Więc zostanie wolnym?

— Tak, i tobie powinien podziękować za to.

— Święte są prawa sprawiedliwości i powinny go dosięgnąć.

— A jednak uniknie ich, gdyż przez litość i przez wdzięczność nie chcę go wydać... i nie wydam.

— Mimo to nie minie go kara Boża.. i ta jaką ja mu wymierzę.

Groźbę tę wypowiedziała głosem zniżonym, tak stanowczym i nieubłaganym, że oddźwięk jego dreszczem przejął Stefana; odsłaniała mu się nieznana dotąd strona tego dzikiego charakteru. Pragnął aby choć jednem słówkiem podziękowała mu za zamilczenie nazwiska przestępcy—nie uczyniła tego. Oparła głowę rannego o poręcz fotela, kazała aby zamknął oczy płonące gorączką, i odsunęła się w przeciwny róg pokoju, oczekując tam przybycia Maryi Anny. Ujrzawszy ją nadchodzącą wspartą na ramieniu ciotki, bladą ze wzruszenia, Gracioza zbliżyła się do niéj zwolna, mówiąc:

— Możesz pani być zupełnie spokojna, rzekła; długie zemdlenie kazało wnosić że rana jest daleko niebezpieczniejsza niż jest rzeczywiście; dziś jest trochę gorączki, jutro będzie się jeszcze czuć mocno osłabiony, ale za dni kilka... narzeczony twój... zupełnie wróci do zdrowia.

Po raz pierwszy Gracioza nadmieniła o stosunku Maryi Anny z panem de Vambry; co rozrzewniło i uspokoiło zarazem pannę de Fouzolle, gdyż ufając jéj zupełnie, wiedziała że znając łączące ich węzły, Baskijka nie łudziłaby jej próżną pociechą. I w jednéj chwili przerażenie ustąpiło w obec słodkiéj nadziei, twarz odzyskała zwykły wyraz tkliwéj słodyczy, łzy płynąć przestały.

— Jesteś prawdziwą opatrznością dla nas obojga! zawołała, obejmując za szyję Graciozę, która przyjęła tę pieszczotę z pozorną obojętnością, jaką pokrywała zwykle najtajniejsze swoje wrażenia.

— Dziś ranny potrzebuje jak największego spokoju i ciszy, a jutro trzeba go wygodnym powozem przewieźć do Bayonny. Za kilka dni będzie już mógł przyjeżdżać do Mouguerre.

— Czy nie zaszkodzi panu de Vambry tak prędkie przewiezienie? zapytała Marya Anna.

— Nie, odrzekła Baskijka.

Wiedziała że rana zadana ganibettą nie była tak głęboką i niebezpieczną jak zwykle bywają ciosy téj morderczéj broni, a to dzięki słabéj jeszcze ręce przemytnika, i chciała choć na czas zagajania się jéj i powrotu do zdrowia, oddalić pana de Vambry z miejsca w którem dzika zazdrość górala, o mało nie pozbowiła go życia. Pewna jego milczenia, jako też prędkiego zagojenia się rany opatrzonéj doświadczonym balsamem jéj matki, nie chciała spotykać się co chwila z tak sympatycznym dla niéj młodzieńcem w pałacu de Mouguerre, gdzie nieustannie czuwać musiała nad zdrowiem Maryi Anny.

Panna de Fouzolle ścisnęła tylko w milczeniu rękę narzeczonego, i stosując się do polecenia Graciozy, wyszła cicho zostawiając go pod troskliwą opieką margrabiny. Stefan zasnął i w tym śnie dobroczynnym, zapomniał o swych wzruszeniach i cierpieniach.

Margrabina czuwała z macierzyńską troskliwością nad tym ranionym w którym ześrodkowały się najdroższe jej nadzieje, drżąc z przerażenia na samą myśl że jeden wybryk znarowionego konia mógł zniweczyć w jednéj sekundzie złote marzenia i przyszłość młodéj jego narzeczonéj. Nie powątpiewała wcale o przyczynie rany; wszak i Gracioza powiedziała iż mogło ją spowodować gwałtowne uderzenie o ostry skraj skały, margrabina powtórzyła to szwagrowi i przyjaciołom i wszyscy uwierzyli nie mając powodu przypuszczać że ich w błąd wprowadzono.

Przebudziwszy się, Stefan ujrzał utkwione w siebie załzawione oczy margrabiny; wzruszyła go ta oznaka współczucia.

— Zapewniam panią że już czuję się lepiéj... prawie zupełnie dobrze, rzekł pragnąc ją uspokoić.

— Dzięki niebu! odrzekła, ale wierzaj mi, kochany panie Stefanie że już zupełnie uspokoił mnie nasz doktór w spódniczce, jak nazywa Graciozę uczony mój medyk z Bayonny. Zapewniła mnie że za kilka dni będziesz zupełnie dobrze... to też nie nad tobą płakałam ale nad sobą.

— Nad sobą, pani margrabino?

— Tak, mój młody przyjacielu; każdy z nas krzyż jakiś dźwigać musi, a mój jest bardzo ciężki.

— Tak ciężki że nawet pani energię przygnieść zdolny?

— Tak, i pan dopiero ulżyłeś tego ciężaru.

— Ja!... jakim sposobem?...

— Pokochawszy Maryę Annę.

— Pani...

— I oświadczając się o jéj rękę.

— Szczęśliwy jestem że mogłem przyczynić się.. ale nie pojmuję...

Margrabina przysunęła się z krzesłem, i biorąc rękę jego z macierzyńską czułością, rzekła poufnie:

— Czy nie zastanawiało cię to, panie de Vambry, czemu pomimo tak delikatnego zdrowia Maryi Anny, pragnęłam jak najprędzéj wydać ją za mąż i wydać po mojéj myśli?

Stefan nie umiał kłamać. Rumieniec wystąpił mu na twarz i wyznał iż wprawdzie niekiedy zadawał sobie to pytanie, ale że zawsze chęć tę przypisywał najszlachetniejszym wynikom macierzyńskiego przywiązania.

— Nikt a nikt nie zna prawdziwego powodu, ani pan de Fouzolle... ani Marya Anna... panu jednemu go wyjawię.

— Nie czyń pani tego, nie potrzebuję znać aby szanować kierujące nią pobudki.

— Tajemnica ta pozostanie między nami. Jestem dotknięta nieuleczoną chorobą sercową; nikt z otaczających mnie nie wie że cierpię na anewrizm. Po cóż miałabym dręczyć tem moją biedną Maryę Annę?... a współczucie pana de Fouzolle nie osłodziłoby mi przykrości jaką sprawiłoby mi rozgłoszenie tej mojéj wady organicznéj; co zaś do przyjaciół moich... cóżby mi pomogli!

I uśmiechnęła się gorzko.

— Cóż chcesz, kochany panie, nie chcę aby wiedziano że życie moje wisi na włosku... ale wiedząc że jeden cios jakiś, jedno silniejsze wzruszenie zagraża mi śmiercią, nie zapominam o tem ani na chwilę i myśl ta kieruje mojem postępowaniem.

— Dajesz pani dowód wielkiéj mocy duszy.

— Nie spuszczam z oczu i z myśli przestróg jakie podobało się Bogu wyryć w całym moim organizmie; rozprzęże on się lada dzień jak zużyta maszyna... i gdy wybije godzina śmierci, gotowa jestem stanąć na sąd Boży... Nie o mnie więc chodzi... Ale cóżby się stało z moją biedną Maryą Anną tak wątłą, smutną i niezrozumianą przez tych wszystkich, co widzą tylko jéj powierzchowność a nie starają się zajrzéć w duszę?...

Stefan pomyślał że i on należał do ich liczby, i zmięszany spuścił oczy.

— Marya Anna, mówiła daléj margrabina, jest jedynym celem mego zajęcia i trosk moich. Zostawić ją samą na świecie... wprawdzie ma ojca który ją kocha... ale cóż kiedy szwagier mój młodszy jest o lat dwadzieścia od swoich prawie już siwych włosów... Jedna tylko Marya Anna przywiązuje mnie do życia. kocham ją jak własną córkę, to też drżę z obawy abym nie opuściła jéj wtedy właśnie, gdy budząc się kobietą, kobiecéj potrzebowałaby opieki i kierunku... Ileż to strasznych, bezsennych spędziłam nocy! jakąż trwogą przejmowały mnie nie raz najsłabsze symptomata anewrizmu, tak lękałam się umrzéć nie ustaliwszy jéj losu... Czy pojmujesz pan teraz dlaczego pragnęłam wydać ją za mąż?

Nie odpowiadając ujął rękę margrabiny i z najgłębszą czcią poniósł ją do ust, tak wzruszyło go to niespodziewane wyznanie, którego potrzebę przeczuło szlachetne serce pani de Fouzolle. Stefan ze szczerem uczuciem zapewnił ją iż będzie się starał usprawiedliwić położone w nim zaufanie. Usta jego mówiły, serce nie zaprzeczało wypowiedzianym słowom, ale w umyśle jego słyszał powtarzający się

wyraz natrętny, monotonny jak uderzenia dzwonu pogrzebnego: Jesteś związany na zawsze!... na zawsze!... na zawsze!...

Nad wieczorem, Gracioza, sztywniejsza i obojętniejsza niż kiedykolwiek, przyszła obejrzéć ranę i sprawdzić skutek balsamu; oznajmiła że pan de Vambry może powrócić do Bayonny w wygodnym powozie margrabiny, tylko zaleciła aby nie poruszać opatrunku. Pani de Fouzolle prosiła aby pozostał aż do zupełnego zagojenia rany, ale ani Stefan ani Gracioza nie zgodzili się na to. On powiedział że to spadnięcie z konia upokarza jego miłość własną jako dobrego jeźdźca, i pragnie jak najprędzéj pokazać się w mieście, aby nie dopuścić żartów z tego wypadku, Baskijka zaś oznajmiła że nie godzi się pozbawiać pani de Vambry przynależnego jéj prawa doglądania syna.

Dzięki temu poparciu, Stefan choć zgorączkowany i wzburzony, mógł opuścić pałac w Mouguerre i powrócić do domu państwa Bernard; chciał uciec od pięknéj Baskijki, któréj obecności tak pragnął i lękał się zarazem, która pociągała go jak marzenie, drażniła jak nierozwiązana zagadka. I tak nie porozumiewając się ani jednem słówkiem, zapragnęli wzajemnie rozszerzać coraz więcéj przestrzeń oddzielającą narzeczonego Maryi Anny, od narzeczonéj przemytnika.

XV.

Przestrach pani de Vambry gdy się dowiedziała o wypadku syna, uspokoił się dopiero gdy go ujrzała i zapewnił ją osobiście że tylko bardzo lekką poniósł ranę.

Matylda złorzeczyła wypadkowi który o mało nie pozbawił ją owoców tak dobrze obmyślonéj zemsty.

Dotąd wszystko szło po jéj myśli: małżeństwo zostało ułożone; zdrowie narzeczonéj nie polepszało się; narzeczony widocznie tylko z musu poddawał się nałożonym na niego więzom—zatem pożycie będzie przykre i zimne. Co więcéj, pan de Vambry nie odziedziczy spodziewanego majątku, bo obdarowana umrze pierwéj niż donataryusze, a tak przed trzydziestu laty zostanie wdowcem, zniechęconym... i ubogim jak przed tem. Więc zemsta jéj będzie zadowolnioną.

Tegoż dnia inny cios jeszcze ugodził w macierzyńskie serce pani de Vambry. Przed udzieleniem swego błogosławieństwa żądała aby Marjusz doniósł jéj szczegółowo kto jest jego narzeczona. Odpisał zaraz rozwodząc się na ośmiu stronnicach nad pięknością, powabem urokiem i przymiotami swéj przyszłéj, dodając dopiero w końcu że jest to panna Sylwia Joanes, zachwycająca Hiszpanka, pierwsza tancerka teatru lugduńskiego. Biedna matka kilka razy przeczytała ten list niesczęsny, i spoglądając na zawieszony w jéj pokoju wizerunek Ukrzyżowanego Chrystusa, zawołała załamując ręce:

— Ach! Panie! Panie! jakże ciężko mnie doświadczasz!...

Bolesne doświadczenie nauczyło ją że ani prośby ani przełożenia lub groźby żadnego nie wywierają skutku na krnąbrny i uparty charakter syna, który mimo dojrzałego wieku i obowiązków ojcowskich pozostał wierny swemu awaturniczemu usposobieniu. Już pierwszy raz ożenił się niestosownie mimo najżywszych odradzań, obecnie jeszcze stokroć gorszy uczynił wybór.

Gdy Stefan przybył tak cierpiący, nie chciała mówić mu o tem szalonem postanowieniu brata, i odpisała tylko krótko i stanowczo: iż nigdy nie zezwoli na podobny związek, choć nie łudziła się nadzieją że niedobry syn uszanuje jéj wolę. Dopiero w cztery dni późniéj, gdy Stefan odzyskał siły a więcéj jeszcze spokój moralny i sam zaczął mówić o zamiarze Marjusza zawarcia nowych związków małżeńskich, wyjawiła mu całą prawdę. Stefan zbladł i zawołał załamując ręce:

— Ależ on hańbi nasze nazwisko!

Wieczorem nadeszła odpowiedź Marjusza, taka jakiéj się można było spodziewać. Pisał iż cierpi nad tem niewymownie że musi postąpić wbrew woli matki, ale uroczyste przyrzeczenie i miłość jego dla Sylwii zniewalają go do tego.

— Czyż nie lepiéj oszczędzić mu téj winy aby nie uszanował woli matki i dać mu żądane zezwolenie? rzekła ze łzami pani de Vambry, ściskając Stefana.

— Matko, odrzekł spokojnie, nie mamy prawa sami rozstrzygać téj kwestyi.

— Nie mamy prawa? powtórzyła z zadziwieniem.

— Tak, bo teraz honor naszego nazwiska nie do nas tylko należy. Marya Anna i rodzina jéj powinna być zawiadomioną o tym mezaliansie mego brata... a my musimy zastosować się do jéj postanowienia.

— Jednakże, mój synu...

— Być może iż to ożenienie mego brata uniemożebni mój związek z panną de Fouzolle.

— Tegoby tylko brakowało! zawołała i tak głośnym zaniosła się płaczem, iż Matylda usłyszawszy wpadła do pokoju, sądząc że pani de Vambry dostała ataku nerwowego.

Stefan nie ukrywał przed nią o co chodzi. Pieszczotami i słowami pociechy uspokoiła panią de Vambry, poczem zaczęli się naradzać wspólnie jak postąpić należy.

Matylda utrzymywała że najlepiéj nic nie mówić o tem rodzinie de Fouzolle, Stefan był przeciwnego zdania. Ona rządziła się przezornością, on poczuciem honoru. Ona obawiała się czy to naleganie jego nie jest wynikiem tajonéj żądzy zerwania niemiłego małżeństwa, on walczył odważnie z nieprzyznawaną przed samym sobą nadzieją, że ktoś inny zwolni go od tego ciężkiego zobowiązania.

Chcąc uprzedzić grożące niebezpieczeństwo, pani Bernad podjęła się pośrednictwa. Stefan miał przez chwilę jakby przeczucie prawdy, dostrzegłszy odblask tryumfu jaki zabłysł w jej oczach gdy pani de Vambry przyjęła jéj ofiarę, ale jakże przypuszczać nawet że ta towarzyszka jego lat młodocianych, coś innego jak tylko szczęście jego może miéć na celu?

Pani Bernard wiedziała dobrze iż margrabina tak jest uszczęśliwiona z zamierzonego związku iż nie obawiała się bardzo skutków zwierzenia jakie jej uczynić miała: mimo to nie omieszkała powiedziéć pani de Vambry i Stefanowi iż będzie to trudność ciężka do zwalczenia.

Udawszy się do pani de Fouzolle, umiała całą rzecz przedstawić z nadzwyczaj zajmującéj strony. Odmalowała Marjusza jako poetycznego zapaleńca, szalenie zakochanego w pięknéj tancerce, którego popychała do tego związku tak gwałtowna miłość, jakoteż chęć okazania jakiejś rycerskiéj niezależności charakteru przez jawne pomiatanie przesądami społecznemi.

Pan de Fouzolle, margrabina i Marya Anna, słuchali z początku tego ślicznie ubarwionego opowiadania z niemiłem zadziwieniem dziecka, któremu ukazuje się czarna chmura zasępiająca horyzont oczekiwanych przyjemności.

Pani de Fouzolle, dotąd nieubłagana przeciwniczka wszelkich mezaliansów, znalazła się nagle w trudnem nader położeniu: nie chciałaby nic odstąpić od swoich przekonań, a z drugiéj strony obawiała się powiedziéć cośkolwiek co mógłoby pozbawić siostrzenicę upragnionego i już kochanego narzeczonego.

Pan de Fouzolle miotany był obawą: że jeźli małżeństwo córki nie dojdzie do skutku i on będzie musiał wyrzec się zamierzonego ożenienia.

Dwie ciche łzy spływały po bladych policzkach Maryi Anny.

Wszyscy troje milczeli. Margrabina pierwsza odzyskała zimną krew, a pomnąc na to że i Matylda zawarła niestosowny związek, pojmowała że musi wyrażać się bardzo oględnie.

— Droga Matyldo, rzekła, wszyscy uczuwamy boleśnie cios jaki dotknął naszych przyjaciół. Wielkie to nieszczęście... Mezalians pana Marjusza de Vambry, mniéj razi tem że żeni się z osobą niższego stanu, ale że zaślubia baletniczkę—i z jakiegoż to jeszcze teatru!... Ubolewamy nad tem bardzo i pragnęlibyśmy o ile w naszéj mocy złagodzić biednéj matce cios tak dotkliwy... Jeźli więc szwagier mój i Marya Anna nie ma nic przeciw temu, pominiemy najsłuszniejsze względy towarzyskie, przenosząc nad nie prawdziwe poczucie chrześciańskiéj miłości i poradzimy pani de Vambry, aby kierując się niem nie stawiała nieprzepartéj zapory między nią a lekkomyślnym jej synem, i nie odmawiała mu swego błogosławieństwa.

Ucieszona niewymownie, Matylda zapytała się jednak nieśmiało: czy nigdy i niczem nie dadzą uczuć Stefanowi tego ustępstwa jakie czynią dla niego.

— Zdarzenie to sprawia mi niewymowną przykrość, rzekł hrabia de Fouzolle, ale nie mógłbym nigdy czynić zięcia mego odpowiedzialnym za winy jego brata.

Ośmielona słowami ojca i ciotki, Marya Anna złożyła szczupłe swe ręce i rzekła z niewysłowionem uczuciem:

— Będę się starać aby pani de Vambry tak mnie pokochała, aby moje pieszczoty dozwoliły jéj zapomniéć o zmartwieniu jakie sprawia jéj postępowanie starszego syna.

Pani de Fouzolle rzekła jeszcze stanowczo:

— Wina wyrodnego pana de Vambry nie może uwłaczać honorowi Stefana de Vambry, umiejącego szanować swoje nazwisko. Zapomnijmy o tamtym, a Stefan niech wraca do nas... do nas którzy go kochamy.

Pani Bernard zmieniła teraz rozmowę, oznajmiła że Stefan prawie już zupełnie zdrów i niezadługo przybędzie do Mouguerre, poczem pożegnała się aby jak najśpieszniéj powrócić do domu. Wiedziała dobrze iż sama tylko pani de Vambry ucieszy się z tak pomyślnego rozwiązania, nie byłaby kobietą gdyby nie umiała wyczytać w oczach Stefana, że w smętnych spojrzeniach jakie zatrzymywał niekiedy na Maryi Annie, widnieje nie miłość ale rezygnacya. Przewidywała także iż piękna postać Graciozy przesuwająca się nieustannie przed wzrokiem Stefana, może w przyszłości nie jedną zagrażać burzą ich smętnemu pożyciu... I cieszyły ją te przewidywania; tylko wielkie dusze i wzniosłe serca nie zdolne są życzyć drugiemu aby cierpiał co same wycierpiały.

Postawa Stefana gdy go zawiadomiła o postanowieniu jego narzeczonéj i jéj rodziny, nie potwier-

dziła jéj przypuszczeń. Zdawał się być przejęty szczerą wdzięcznością, podziękował jéj serdecznie za pośrednictwo, i mówił to z czystem i otwartem spojrzeniem. W téj chwili serce jego oceniało tylko szlachetne postąpienie rodziny de Fouzolle i całą siłą woli pragnęło odpłacić się zupełnem poświęceniem i zaparciem siebie.

Z każdym dniem zacieśniały się węzły zobowiązań i prawdziwéj przyjaźni jaką otaczano go w Mouguerre, a tak to co z początku było tylko prostem ustępstwem dla woli matki, zamieniło się w poważny obowiązek, a tak gruntownie chrześciańskie wychowanie jakoteż jego zawód wojskowy, nauczyły Stefana cenić go nader wysoko i stawiać po nad wszystkiem.

Niestety! małżeństwo jego nie będzie „miłością“ ale „obowiązkiem“ a tak niezłomnie posłuszny był prawom sumienia, iż odtąd nie śmiał już szemrać przeciw swemu losowi. Zdawało mu się że stoczył już z sobą ostatnią stanowczą walkę, i odniósł ciche ale stanowcze zwycięztwo.

Miało to miejsce przed paru dniami.

Miotany wściekłym gniewem na przemytnika, jakiejże doznałby rozkoszy oskarżając go w obec wszystkich, i poniżając tym sposobem w oczach Graciozy. Tym sposobem zadowolniłby zarazem i swą niechęć i swą namiętność, uznał jednak że szlachetniéj postąpi wyrzekając się obu!

— Zapomnę zniewagi.., zatrę w pamięci marzenie! pomyślał z głębokim smutkiem... Zagrzebię w milczeniu dramat odegrany nad jeziorem... zapomnę o wszystkiem!...

Nie chciał więc wywoływać akcyi sądowéj, aby w śledztwie nie zestawiano jego nazwiska z nazwiskiem Graciozy, a postanowieniem tem kierowały szlachetne pobudki: współczucie dla pięknéj Baskijki, wzniosłe przebaczenie zniewagi jaką wyrządził mu przemytnik, szacunek dla Maryi Anny i wdzięczność dla margrabiny, która z tak pełną prostoty godnością zwalniała go od wszelkiéj odpowiedzialności za winy brata. Do wytrwania w tem postanowieniu, dopomagało mu przezorne zachowanie się Graciozy i wynikające z obawy milczenie Elissalda.

Tak więc nic nie miało zdradzić tajemniczego zajścia nad jeziorem, które pozostało tylko wyryte w pamięci interesowanych w niem osób, a szczególniéj w pamięci Graciozy.

Gdy pan Bernard pośpieszył podnieść ranionego Stefana, nie dostrzegł w koło niego nic coby mogło wzbudzić podejrzenie. Elissalde podniósł natychmiast ganibettę i wrzucił ją w jezioro, a chłopiec ten, Baskijczyk z krwi i z kości i uparty jak kozioł, byłby gotów przysiądz że nic nie widział, byle ocalic swego współziomka.

Jan Berette ochłonąwszy z gniewu i osłupienia, widział iż o mało nie popełnił poniżającego zabójstwa, gdyż przeciwnika swego ugodził z tyłu. Nie czuł wyrzutów sumienia, ale wstyd i upokorzenie. Oficer uderzył go w twarz szpicrutą, a więc i on powinien był w twarz go ugodzić nożem a nie w plecy. Cios jaki zadał okrywał go hańbą.

— Uciekaj! zawołał Elissalde miejscowem narzeczem.

Jan Berette wstrząsnął silnie rozpaloną głową, jakby piękne jego blond włosy ciężyły mu beżmiernie, obejrzał się po za siebie, zobaczył nadchodzącego pana Bernard który nie wiedząc jeszcze o niczem zajęty był jedynie pstrągami które zawiązał w chustkę, i nie tracąc słów na zbyteczne zalecanie chłopcu aby nie zdradził brata, pobiegł i znikł między skałami.

Elissalde położył się w krzakach i widział jak spostrzegłszy upadłego oficera pan Bernard pobiegł do niego z przerażeniem, podniósł i posadził na siodle, i dopiero gdy obaj znikli na drodze wiodącéj do Mouguerre, wyszedł z kryjówki i zaczął szukać swego czarnego kozła. Dziecinny jego umysł nie mógł pochwycić wątku téj tragicznéj historyi, któréj główną stał się przyczyną przez swe bezrozumne paplotarstwo. To tylko zrozumiał iż nie podobało się Janowi Berette że piękne panie z miasta zabierały cały prawie czas jego narzeczonéj, i że piękny oficer lśniący od galonów i złota, lubił z nią rozmawiać i pozwalał sobie wśród nocy towarzyszyć jéj w góry. Dodając do tych powodów niezadowolnienia, owa wycieczkę nocną na koniu z obwiązanemi nogami i spotkanie oficera w pobliżu śluz, Elissalde wywnioskował sobie że młody aficer musiał ciężko zawinić przeciw przemytnikowi, a więc tenże miał prawo go ukarać.

Obyczaje francuzkie złagodziły skłonności i zwyczaje tego pojętnego, bystrego i mściwego baskijskiego plemienia, dotąd jednak nie zdołały wykorzenić ani zasady zemsty osobistéj ani nałogowego przemytnictwa. Elissalde podziwiał śmiałość i odwagę Jana Berette jako przemytnika i nie brał mu bynajmniéj za złe jego morderczéj napaści.

Ciągła walka z zagrażającemi im niebezpieczeństwami, unikanie zasadzek w których często przychodzi im posługiwać się bronią, tak z nią oswoiły nadgranicznych górali, iż przy najmniejszéj sprzeczce lub zajściu, uciekają się do kuli lub noża. Wycieczki ich i przygody opowiadane na wieczornicach podnoszą przemytników w opinii współziomków do godności bohaterów, a dzieci słuchając tych opowieści, od najmłodszych lat oswajają się ze ścieżynami górskiemi, aby je późniéj w tym samym przebiegać celu i takież same zbierać wawrzyny.

Jan Berette mógł być pewny że żadne nie zagraża mu niebezpieczeństwo ze strony Elissalda, dla którego był ideałem odwagi, śmiałości i zręczności, jednak czy przez przezorność czy przez przebiegłość wpadł do domku na miejsce utraconéj ganibetty pochwycił pozostałą po ojcu, i bez względu na odległość podążył ku granicy, gdzie dubeltówka jego ukrytą była w skałach, w przejściach jemu tylko znanych.

XVI.

Pani de Vambry odpisała synowi co następuje:

„Nieszczęśliwe dziecko, czyż przeszłość twoja nie powinna być dostateczną dla ciebie nauką! Jak mogłeś podobny uczynić wybór? czyż to na deskach podrzędnego teatru, w gronie osławionych tancerek należało szukać żony i matki dla sześciorga dzieci twoich?... Jak możesz podobnéj kobiecie nadawać nieskażone nasze nazwisko!... Lecz skoro ani sumienie, ani obowiązki ojcowskie, ani duma rodowa nie zdołają cię powstrzymać na zgubnéj drodze, na jaką popchnęła cię fatalna namiętność, nie chcę pogorszać położenia twego odmówieniem macierzyńskiego błogosławieństwa; nie chcę abyście oboje mogli kiedyś, jeźli was nieszczęście przygniecie, wyrzucać mi, może już po za grobem, że nie prosiłam Boga o szczęście wasze. Niech więc wam Bóg błogosławi! niech nie oddaje wam według zasług waszych ale według wielkiego miłosierdzia swego, i bogdajby dzieci twoje, w które wpajam miłość i szacunek dla ciebie, mogły nazywać „matką“ wybraną przez ciebie towarzyszkę życia, i aby wybór ten nie naraził nas wszystkich na wstyd i upokorzenie.“

Wzmocniona modlitwą, uspokojona serdecznem obejściem margrabiny i Maryi Anny, biedna matka otrząsnęła się powoli z przygniatającego ją ciosu. Dając jéj Stefana, Bóg wynagrodził jéj wszystko co wycierpiała z powodu Marjusza; to też teraz myślała już tylko o tym ukochanym, wzorowym synu, któremu zawdzięcza ostatnie radości jakich jeszcze zakosztować miała.

Dzięki skutecznéj maści i silnéj konstytucyi, *wypadek* jakiemu uległ Stefan żadnego nie pozostawił śladu, a od kilku tygodni i zdrowie Maryi Anny znacznie się polepszyło—szczęście najlepszym bywa lekarzem.

Wrażliwy jéj temperament i wątły organizm, podlegał nader silnie wszelkim tak złym jak dobrym wpływom: radość wzmacniała jéj siły.

Zbliżał się dzień ślubu. Z powodu manewrów jesiennych w których musiał przyjąć udział, pan de Vambry otrzymał tylko dwumiesięczny urlop; urządzono więc tak oznaczyć czas ślubu, aby młodzi małżonkowie mieli jeszcze kilka dni swobody, zanim Stefan zniewolony będzie poddać się pod jarzmo karności wojskowéj.

Pan de Fouzolle życzył sobie aby ślub odbył się w w katedrze Bayońskiéj, z przepychem i okazałością do jakich nadawały mu prawo jego stanowisko i majątek, ale przez rozrzewniający przesąd, Marya Anna pragnęła koniecznie brać ślub w małym kościołku w Mouguerre, przez wdzięczność za polepszenie zdrowia a szczególniéj za rozkoszne upojenie ożywiające jéj serce. Tu, w tym górskim zakątku, po raz pierwszy w życiu zakosztowała szczęścia, i zdawało jéj się że byłoby czarną niewdzięcznością szukać gdzie indziéj uroczystego szczęścia tego uświęcenia.

Zawiadomiono o tem miejscowego proboszcza, którego ta fantazya nowéj parafianki wielkiego nabawiła kłopotu. Wprawdzie był to nie mały zaszczyt, ale ile też do zwalczenia trudności!... Nigdy jeszcze tak magnacki ślub nie miał miejsca w skromnym jego kościołku, i skąd tu wziąść odpowiednich apparatów i ozdób?

Siostra proboszcza łamała sobie głowę co począć; od czasu złamania ręki, gdy spadła z drabinki ustawiając coś w kościele, poczciwa stara panna mianowała Graciozę swoim zakrystanem—posłała więc po nią na naradę.

— Co tu począć? mówiła do niéj jak przybrać kościół na tę wielką uroczystość? czy posłać do Bayonny i wynająć tam obicia i kobierce?... czy prosić okolicznéj szlachty o pożyczenie żyrandoli i świeczników?... sprowadzić jakichś śpiewaków?..

Gracioza odpowiedziała spokojnie:

— Trzeba tylko nagromadzić dużo kwiatów.

— A oświetlenie?

— Zapalemy wszystkie świece jak w Święta Wielkanocne, panna de Fouzolle poprzestanie na tem co wystarcza dobremu Bogu.

— Ale skąd wziąść śpiewaków?

— Ksiądz proboszcz przykaże Courlade'owi i synowi Etchegoyen'a, aby dnia tego byli trzeźwi.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 47.

(Dokończenie).

N. 39—40. Paletocik dla dzieci lat 2—4. Krój Nr V, Fig. 30—35.

Kortowy paletocik, ma kołnierz wyłożony w górze i obłożony w koło repsem jedwabnym, takiego jak kort koloru. Obłożenie kilka razy przestębnowane, ma przy kołnierzu i mankietach 3, przy kieszonkach 2 cent. szerokości. Po zeszyciu paletocika podług jednakowych numerów, stębnuje się przody u dołu kilka razy, w odstępie jednego centymetra, a plecy u dołu i przy szwie do 3; następnie przyszywa się kieszenie do przodów, a patkę daną przy plecach zakłada się na wierzch i przyszywa małemi guzikami rogowemi, które służą także do zapięcia przodów.

Opis do N-ru 48.

N. 1. Sukienka princesse z fałdowaną częścią spódniczkową, dla małej dziewczynki.

Do sukienki formą princesse zapinanej z przodu na dwa rzędy guzików, dodana jest u dołu część fałdowana, 20 cent. długa, na której także naszyte są z przodu guziki. Przyszycie tej części przykrywa z przodu i z boków szarfa w trzy fałdy złożona, przy szwie pleców zakończona kokardami z wstążki atłasowej. Części pleców zakończone są przedłużeniem 5 centym. szerokiem, podszyte atłasem i w pukiel złożonem. Nad fałdami u dołu naszyte trzy, jedna na drugą zachodzące pliski 2 cent. szerokie z których środkowa jest z atłasu. Kołnierzyk podwójny i mankiety, ozdobione atłasowemi pliskami. Model z beżu popielatego, ubrany był atłasem takiegoż koloru i guzikami z konchy perłowej, inkrustowanemi złotem.

N. 2. Ubranie spacerowe z długim luźnym paletotem.

Paletocik z materyału „double“ w poprzeczne prążki, z plecami luźno wciętemi a przodami bez zaszewek, miał kołnierz wykładany, klapki przy kieszeniach i szerokie mankiety aksamitne; te ostatnie ozdobione piękną pasmanteryą; guziki szmuklerskie. Suknia z ciemno zielonego dyjagonalu, oszyta dwoma plisowanemi 12 cent. szerokiemi falbanami, miała tunikę z boków krócej przyfałdowaną, u dołu materyą podszytą i na wierzch wywiniętą. Kapelusz aksamitny ozdobiony futrem i kitką z piór.

N. 3. Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem dolmanowym.

Model płaszczyka bogato przyozdobiony plisami z aksamitu, mającemi u płaszczyka 11, u dołu przy szerokich rękawach 14 cent. szerokości, a ku górze stopniowo zwężonemi, oraz piękną 11 cent. szeroką frendzlą z kordonku, szneli prostej i kręconej i 10 centym. szeroką pasmanteryą, z poprzecznych brzegów zakończoną frendzlą 16 centym. szeroką, naszytą na ramionach i na rękawach. Riusza z krótkiej krepowanej frendzli otacza wykrój szyi. Do zapięcia dane kryte guziczki i listewka z dziurkami.

N. 6 — 9. Futra modne.

Oprócz skunksów i bobrów, najmodniejsze a zarazem najdroższe w obecnej chwili, są psy morskie ciemno bronzowe, z krótkim, podobnym do aksamitu włosem. Formy kołnierzy i mufek mało zmieniły się od przeszłego roku; kołnierz podany na ryc. 8 jest trochę większy i ma końce dłuższe jak poprzednio. Mufka ryc. 7 podszyta jest atłasem i ozdobiona kwastami futrzanemi, wiszącemi na sznurkach jedwabnych. Rycina 6 przedstawia ładny berecik czarny aksamitny obłożony futrem i ozdobiony sznurem jedwabnym, rozetą i kwastami z peli bronzowej ze środkami z peli oranżowej.

N. 10. Próbka ściegu tunetańskiego na tło do chustek.

Jako zaczęcie chustki zrobić szydełkiem łańcuszek potrzebnej długości, potem w pierwszem idącem naprzód obrobieniu zarzucać zawsze najpierw nitkę na szydełko, a następnie przeciągnąć pentelkę przez oczko łańcuszka, w obrobieniu powrotnem (od ręki prawej do lewej) pentelkę i nitkę zarzuconą zrabiać zawsze razem. W dalszych rzędach idących od ręki prawej do lewej, po zarzuceniu nitki na szydełko, trzeba przeciągnąć pentelkę razem przez oczko widoczne z lewej strony i przez zwierzchni prosto idący słupek, tak jak to strzałka wskazuje, biorąc od spodu do wierzchu. Przy przerabianiu łańcuszkiem brać zawsze oczko i zarzuconą nitkę razem. W mieniających się rzędach muszek stanowiących szlak trzeba naprzemian w jedno zwierzchnie oczko zwykłe o. tunetańskie, w drugie przewłóczy się 3 razy zarzucając przed każdem przewleczeniem nitkę i zrabia wszystko jedną pentelką.



N. 1. Sukienka princesse dla małej dziewczynki. N. 2. Ubranie spacerowe z długim paletotem. N. 3. Ubranie spacerowe z długim domanowym płaszczykiem.

N. 11—12. Gorsecik robiony szydełkiem, ściegiem tunetańskim dla małej dziewczynki.

Każdą połowę gorsecika mającego z przodu 22, z tyłu 21 cent. długości robi się oddzielnie ściegiem pończochowym, gęstym, wyglądającym jak robiony na drutach. Rycina 12 daje powiększoną próbkę ściegu, w którym idąc naprzód brać trzeba każde oko w oczy poprzedzającego rzędu, obejmując nitką obrobienie łańcuszkowe w sposób wskazany strzałką na próbce. Obrobienie wsteczne łańcuszkowe jak w zwykłym ściegu tunetańskim. W pasie każda połowa mieć powinna 20 — 22 cent. na kliniki w piersiach i biodrach przybierać i gubić podług dopasowanej formy. Gorset robić z kręconej kolorowej szydełkowej bawełny N. 35; obiedwie połowy spoić z lewej strony z przodu, brzegi obrobić o. śc. a z tyłu dać dziurki do sznurowania. Następnie z przodu i przy brzegach pleców podszyć tasiemki do wsunięcia cienkich fiszbinów a brzeg górny i dolny obrobić ząbkami szydełkowemi

N. 13 i 28. Pudełko na papier listowy małego formatu, ozdobione haftem kolorowym na kanwie szarej płóciennej. Rycina 28 daje deseń w naturalnej wielkości na połowę pudełka, mającego 13 cent. wysokości, 8 i pół szerokości a 5 i pół dolnej głębokości. Brzegi pudełka oklejone jasną skórą. Haft robiony sznureczkiem złotym i jedwabiem różnokolorowym.

N. 14—15. Sukienka z długiemi kamizelkowemi przodami, dla małej dziewczynki.

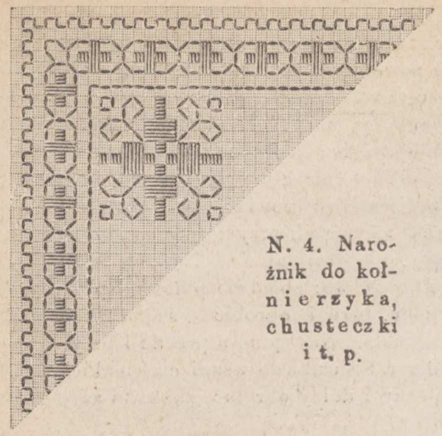
Sukienka z kiprowanego wełnianego, bronzowego materyału, luźno przykrojona podług formy princesse, miała od spodu podszytą spódniczkę w koło plisowaną, a z przodu założoną w szeroką kontrafałdę. Przody kamizelkowe, mankiety i klapki przy kieszeniach z aksamitu w drobne paski. Ranwersy z przodu przy kamizelce z tego co suknia materyału. Środkowe części pleców ozdobione patkami aksamitnemi, a u dołu zakończone plisowaniem. Guziki złote.

N. 18. Majtki damskie robione na drutach.

Krótkie majtki przeznaczone do noszenia pod perkalowemi w czasie mrozów, robią się z bawełny, na grubych drutach. Każdą połowę robi się oddzielnie podług formy gładko tam i na powrót, a następnie spaja się z boku, na 28 centym długości, a szew górny łączy obie połowy na 20 cent. Na modelu każda połowa zaczęta była od góry na o. 120, obrobiona 20 razy na szlak, naprzemian 3 o. gł. 3 kręto; w nogawicach stopniowo gubiona podług formy do o. 36 i zakończona u dołu szlakiem z 2 o. gł. 2 kręt. ch. Z przodu majtki wszyte są w pasek gładko, z tyłu przymarszczone, brzeg górny jest równy bez podkroju. Ząbki dolne robione są szydełkiem, a zaczęte drabinką ze słupków, w którą nawłóczy się wstążeczkę do wiązania.

N. 19—21. Dywanik filcowy, ozdobiony wyszyciem kolorowem.

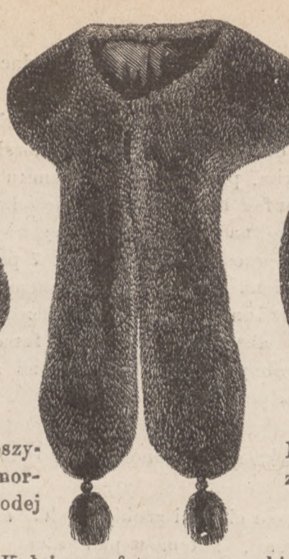
Model miał tło jasno popielate a szlaki 15 cent. szerokie w kolorze czarnym i ponsowym; cała długość wynosiła 128, szerokość 94 c. Rycina 21 przedstawia w zmniejszeniu część deseniu szablonowego na tło dywanika, któren potrzeba stosownie powiększyć, odrysować na sztywnym, grubym papierze, następnie wyciąć i przez szablon całe tło farbą olejną, oliwkowo zieloną wymalować a potem kontury figur obrobić ściegiem łańcuszkowym a środki ściegiem cierniowym i długim, dawanemi rzadko, ażeby malowanie przeglądało. W listkach i kwiatkach niektórych użyty był haft płaski, kraty arabeskowe robione kolorem oliwkowym i bronzowym do cieniu, środkowe desenie kolorami lila, zielonemi ponsowem



N. 4. Narożnik do kołnierzyka, chusteczki i t. p.



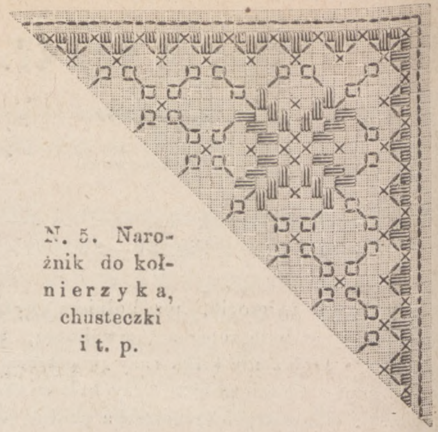
N. 6. Berecik oszyty futrem psa morskiego dla młodej panienki.



N. 8. Kołnierz z futra psa morskiego.

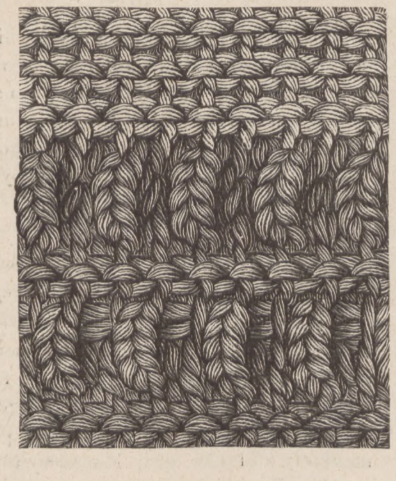


N. 7. Mufka z futra psa morskiego.



N. 5. Narożnik do kołnierzyka, chusteczki i t. p.

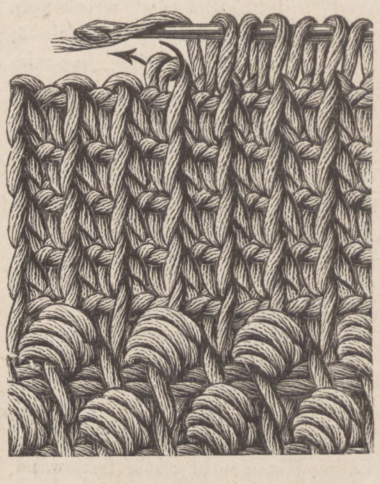
i brunatnemi do cieniu. Szlaki malowane fabrycznie zdobi łatwe wyszycie; dla braku miejsca podajemy tylko próbkę wązkiego szlaczku brzeżnego, na którym wskazane są rodzaje ściegów. Tak tu jak i przy szlaku szerokim proste linje odznaczone są kilku nitkami włóczki niebieskiej, przeszywanemi włóczką żółtą. Gwiazdki w kwadratach wyszywane naprzemian niebiesko, ponsowo, oliwkowo, lila i bronzowo; promienie między kwadratami oliwkowo i brunatno. Szlak szerszy grecki obwiedziony jest ściegiem łańcuszkowym, kolorem złotawo bronzowym a środek wyszyty ściegiem cierniowym, kolorem srebrno popielatym.



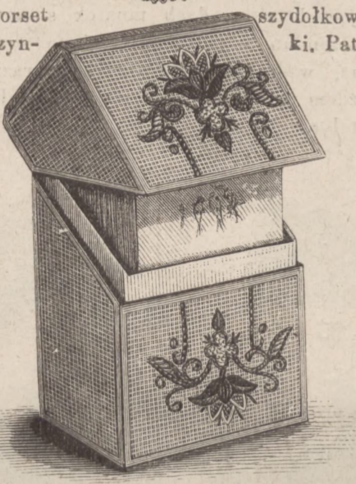
N. 9. Tło i szlak szydełkowy do ryc. 29 w N-rze 49.



N. 11. Gorset szydełkowy dla małej dziewczynki. Patrz próbka roboty na ryc. 12.

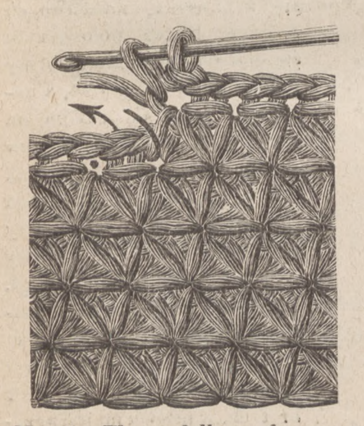


N. 10. Tło tunetańskie i szlak w muszki, na chustki i t. p.

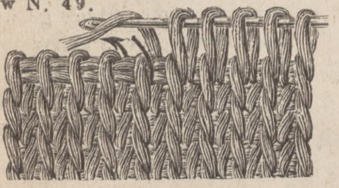


N. 13. Pudełko na papier listowy.

N. 22. Koronka siatkowa, robiona z jedwabiu czarnego, cerowana pelą w kilku kolorach lub cieniach.



N. 16. Tło szydełkowe do ryc. 1 w N. 49.



N. 12. Tło szydełkowe do ryciny 11.



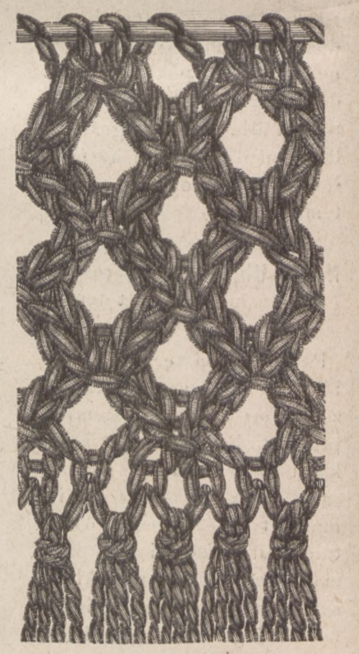
N. 14. Sukienka z długim kamizelkowym stanikiem dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 15.



N. 18. Majtki włóczkowe robione na drutach.



N. 15. Sukienka z długim kamizelkowym stanikiem. Patrz rycina 14.



N. 17. Robota z plecionka sznelowej na drutach do ryciny 50 w N-rze 49.

N. 25. Kufereczek ozdobiony haftowanemi pasami, na koronki, chusteczki do nosa, roboty lub t. p.

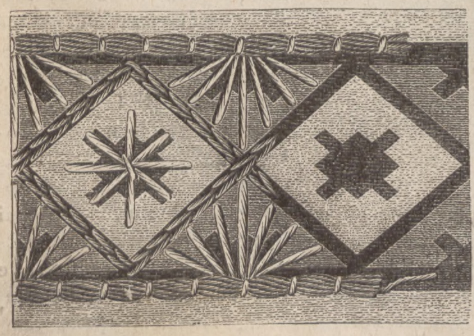
Kufereczek mający 37 cent. wysokości, 35 szerokości a 68 długości, był w środku wyklejony atłasem niebieskim z wierzchu obity wytłaczanym aksamitem koloru bordo, z okuciem i uszami stalowemi, ozdobiony był dwoma 11 centym. szerokiemi szlakami, haftowanemi różno-kolorowym jedwabiem na suknie czarnem, oszytemi po brzegach sznurem ponsowym jedwabnym. Odpowiednie desenie znajdują się w numerach poprzedzających.

N. 29, 34 i 38. Ubranie z vêtement à panier.

Odrobione z atłasu ciemno bordo i wełnianego materyału w guście tureckim, ma przód i boczne bryty atłasowej spódnicy przemarszczane w bufki poprzeczne, 5 centym szerokie. Dół sukni zdobi falbana atłasowa i bufa z tureckiego materyału: tylne bryty przykrywa długie vêtement, do którego mały model i miary dajemy na rycinie 29. Część panier przyszyte do przodów i boczków są z brzegow tylnych mocno słafdowane i pod kokardą do pleców przyszyte. Brzegi boczne brytów tylnych są na 44 cent. szerokości atłasem podszyte i jako ranwers wywinięte.

N. 33 i ryc. 52 w N. 49. **Ubranie** balowe z wywiniętym bawetowym stanikiem i szalikiem.

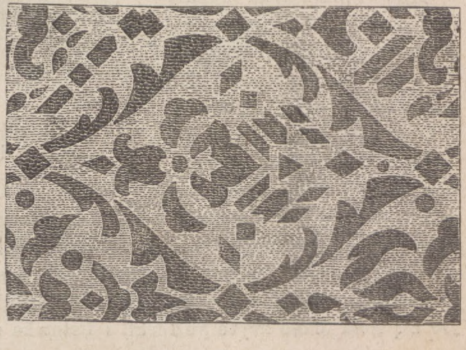
Do sukni białej z indyjskiego muślinu z wyciętym bawetowym stanikiem, ubranym



N. 20. Szlaczek do ryc. 19.

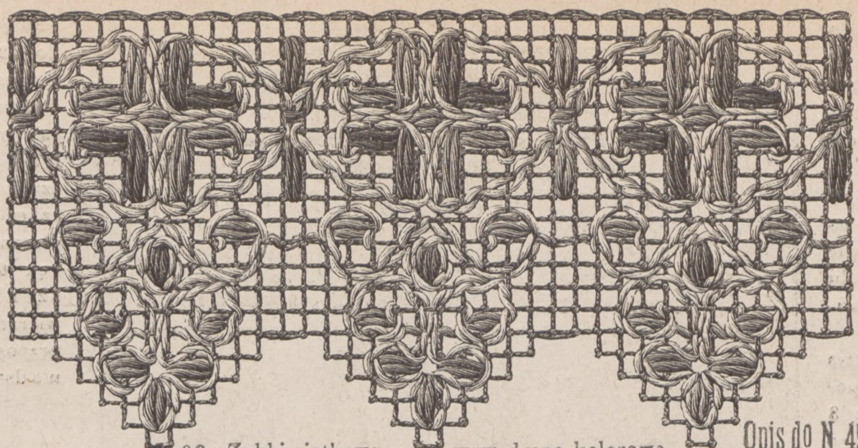


N. 19. Dywanik filcowy ozdobiony wyszyciem. Patrz ryc. 20—21.



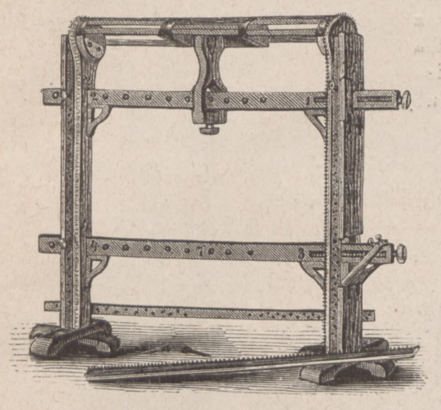
N. 21. Część deseniu szablonowego do ryc. 19.

w sposób wskazany na ryc. 33 lub 52, ładne dopełnienie stroju stanowi szalik z pięknego, krepowanego jedwabnego materyału, 200 cent. długi a 48 szeroki, oszyty w koło pluszową torsadą 6 cent., i sznelową frendzlą 9 cent. szeroką. Takie szaliki wyrabiane są we wszystkich kolorach.



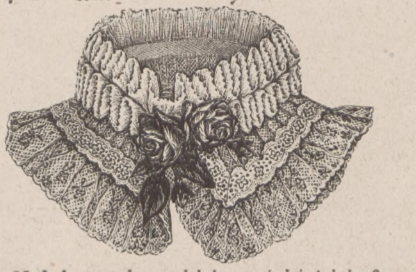
N. 22. Ząbki siatkowe wywodzone kolorowo.

N. 36. Ubranie z kamizelką i stanikiem z baskiną. Stosowne rękawy na ryc. 17 i 18 w N-rze 49.



N. 23. Przyrząd do wyrzymania firanek, kap i t. p. Patrz ryc. 24.

Strojna suknia odrobiona była z jedwabnego repsu i deseniowego aksamitu marynarskiego koloru, a ubrana plisowaniem z repsu, koronką i kokardami, w sposób wskazany na ryc. 36.



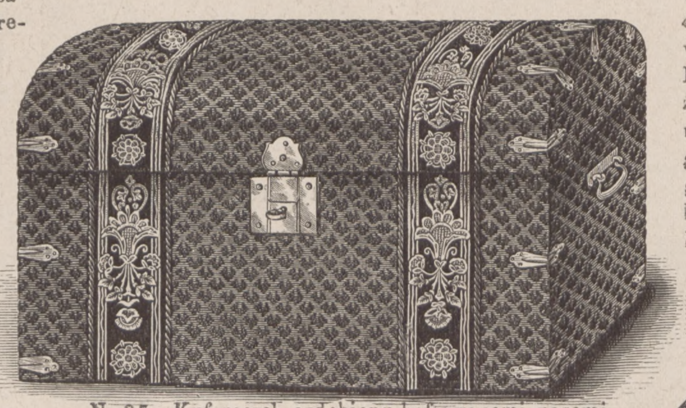
N. 25. Kołnierz z koronki bretońskiej i haftu. Patrz ryc. 26.

N. 37 i 35. Suknią ze stanikiem i frakową baskiną.

Kosztowna suknia z ciężkiej czarnej materyi i aksamitu przerabianego w deseń mille-fleurs, odrobiona była niezwykłym fasonem. Stanik miał z tyłu podwójną baskinę, podszytą aksamitem a z przodu był krotko wycięty i dopełniony aksamitną kamizelką, stanowiącą zarazem długą baskinę. Rodzaj plisowanej tuniki dodanej z przodu na spódnicy ma brzeg górny zupełnie prosty. Ubranie aksamitem wyciętym w proste zęby i dolny garnirunek spódnicy wskazane są na rycinach 37 i 35.



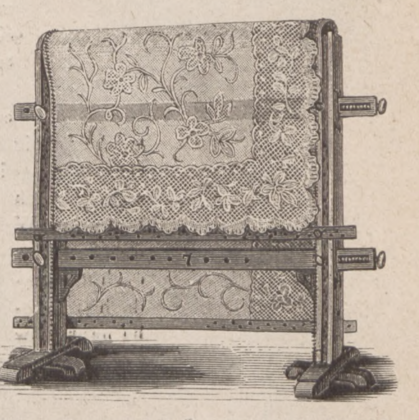
N. 26. Mankiet odpowiedni do ryciny 25.



N. 27. Kufereczek ozdobiony haftowanemi pasami. Patrz ryc. 24 w N-rze 49.

N. 39. Ubranie dla małej dziewczynki.

Luźno przystająca do figury sukienka formą princesse, z dodaną do pleców częścią fałdowaną spódniczki, na modelu odrobiona była z ciemno bronzowego repsu, a przybrana materyałem w guście tureckim. Kołnierzyk płócienny marynarski ogarnirowany koronką.



N. 24. Przyrząd do wyrzymania firanek z rozpostartą firanką. Patrz rycina 23.

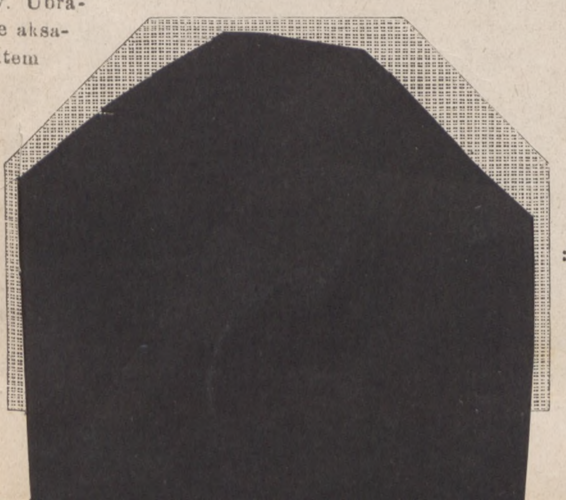
Opis do N 49.

N. 1 i ryc. 16 w N-rze 48. Czapeczka szydełkowa dla chłopczyka.

Ciepła czapeczka z angielskiej bronzowej włóczki, zaczyna się od środka i robi w kółko ściegiem w gwiazdki, wskazanym w naturalnej wielkości na ryc. 16 w N. 48. Dla uformowania się deseniu w gwiazdki potrzeba w każdym rzędzie zrobić trzy pentelki; pierwsza pentelka zajmuje się w oczko którem przerobiona jest poprzedzająca gwiazdka, druga podług kierunku



N. 30. Połowa deseniu haftu z podkładaniem aksamitu do ryc. 15 w N-rze 49.





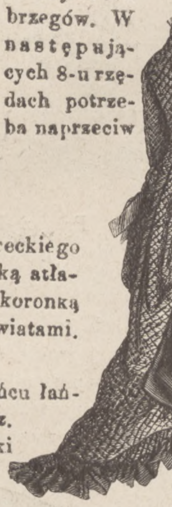
N. 29. Wskazanie kroju vêtement do r. 28.



strzałki a trzecia w miejscu oznaczonem punktem poczem trzy pentelki zrabia się jednem o. i na zakończenie muszki robi się 1 o. łańcuszkowe.

Na zaczęcie czapeczki potrzeba zrobić łańcuszek 8 centym długi i obrabia go z obydwóch brzegów. W następujących 8-u rzędach potrzeba naprzeciw siebie na początku i końcu łańcuszka przybierać 1 ocz. tak aby obwód czapeczki powiększyć do 42 cent. Dalsze 9 rzędów robione bez przybierania zakończają czapeczkę; brzegi otacza baranek 6 cent. szeroki; z wierzchu dla przyozdobienia dany gruby sznurek, przytwierdzony guziczkami. (*D. c. n*).

N. 31. Kapotka z tureckiego pluszu, ozdobiona wstążką atłasową pawiego koloru, koronką przerabianą złotem i kwiatami.



N. 34. Plecy do ryciny 38.



N. 33. Stanik wycięty z bawetem.



N. 35. Przód sukni ryc. 37.



N. 32. Kapelusz okrągły aksamitny zdobny piórami, aksamitem, atlasem i grelotkami z perełek.



N. 36—39. Ubrania wizytowe.

N. 36. Suknia z kamizelkowym stanikiem. N. 37. Suknia z frakowym stanikiem. Patrz ryc. 35. N. 38. Suknia z vêtement à pani[redacted]ynki. 29 i 34.